



Kultura

Strażnik słów

W 2011 roku za powieść „Pióropusz” dostał Nagrodę Literacką „Nike”. Marian Pilot był jednym z najważniejszych przedstawicieli tak zwanego nurtu chłopskiego w prozie polskiej. Zmarł w wieku 86 lat ► 13

Opinie

Za późno na duży atom

Jeżeli zbudujemy dużą elektrownię jądrową, zdeterminuje to naszą gospodarkę na dziesiątki lat. Czas na taką inwestycję już dawno minął – uważa Witold Gadomski ► 12

Ekonomia

Rycerze z sieci

Hakerzy z grupy Dragon Sector przez dwa miesiące starali się odkryć sekret blokad pociągów Impuls Newagu. O szczegółach informatycznego śledztwa opowiadają Michał Kowalczyk, Sergiusz Bazański i Jakub Stępniewicz ► I-III

DUŻY FORMAT



OSTATNI ODDECH

• **Mateusz zmarł po brutalnym zatrzymaniu przez policję w Rotterdamie**

Wydaje Agora SA, nr indeksu 348198



FOT. REUTERS/KHAL ED ABDULLAH

Bliski Wschód

ROŚNIE GROŹBA ESKALACJI KONFLIKTU W JEMENIE

Amerykanie po raz kolejny zbombardowali w weekend w Jemenie instalacje bojowników Huti (na zdjęciu), którzy atakują statki na Morzu Czerwonym w odwecie za inwazję Izraela na Strefę Gazy. Dotychczasowe uderzenia USA nie powstrzymały Huti – i tym razem zapewniają, że będą prowadzić walkę bez względu na ofiary. W Białym Domu jastrzębie zachęcają prezydenta Joego Bidena do bardziej radykalnych kroków ► 11

„Dwie wieże” i „hotele na podsłuchu” do wyjaśnienia

Afery PiS wychodzą spod dywanu

Prokuratura wraca do sprawy „dwóch wież” Jarosława Kaczyńskiego, umorzonej w czasach rządów PiS. Wszczęła też śledztwo w sprawie inwigilacji opozycji w hotelach Polskiego Holdingu Hotelowego.

**Wojciech Czuchnowski
Iwona Szpala**

Powrót do „dwóch wież” sugeruje w rozmowie z poniedziałkowym „Newsweekiem” nowy prokurator krajowy Jacek Bilewicz. W wywiadzie podkreśla, że „w trybie procesowym będą musiały zostać zweryfikowane” powody, dla których w czasach rządów PiS Jarosław Kaczyński nie został nawet przesłuchany.

Kaczyński, biurowiec i koperta dla księdza

Prezes PiS był w centrum afery ujawnionej w 2019 r. przez „Wyborczą”. Opisał, jak przez 14 miesięcy spotykał się z Geraldem Birgfellnerem, austriackim biznesmem (prywatnie zięciem swojego

kuzyna), i planował budowę dwuwieżowego biurowca na działce należącej do związanej z PiS spółki Srebrna. Nagrania ujawnione przez Birgfellnera, jego notatki oraz dokumenty pokazywały, że do zrealizowania inwestycji Kaczyński wykorzystywał swoje wpływy w państwie (wzywał do siedziby PiS prezesa Pekao SA, by ten udzielił Srebrnej kredytu), prowadził negocjacje biznesowe w lokalu partyjnym i brał udział w przekazaniu 50 tys. zł za podpis na dokumencie umożliwiającym rozpoczęcie inwestycji.

Prokuratura chroniła Kaczyńskiego. Ani razu nie został przesłuchany, a śledztwo szybko umorzono. Birgfellner wyjechał z Polski, a mec. Roman Giertych, reprezentujący go w tej sprawie, stał się ce-

lem ataków upolitycznionych organów ścigania państwa PiS.

Inwigilacja w państwowych hotelach

Informacje, że wraca śledztwo dotyczące „dwóch wież”, mamy na razie nieoficjalnie. Oficjalnie wiadomo za to, że 24 stycznia warszawska prokuratura okręgowa wszczęła śledztwo dotyczące innej afery, też ujawnionej przez „Wyborczą”. Chodzi o inwigilację działacza opozycji Bartosza Kramka w hotelach państwowego Polskiego Holdingu Hotelowego. Wiedzieli o tym wiceszef MSWiA Maciej Wąsik oraz prezes PHH Gheorghe Cristescu.

Inny wątek śledztwa to przekazanie przez Cristescu na skrzynkę

posła PiS Joachima Brudzińskiego szczegółowej informacji o mającym się odbyć spotkaniu polityków PO z liderką białoruskiej opozycji Swiałaną Cichanouską.

W kwietniu 2023 r. posłanka Joanna Kluzik-Rostkowska (KO) złożyła zawiadomienie o przestępstwie. Skupiła się w nim na kwestii ujawnienia Brudzińskiemu przez Cristescu informacji o spotkaniu z Cichanouską. Przez prawie rok w sprawie nic się nie działo, a PHH nękał „Wyborczą” oraz sygnalistę, który ujawnił podejrzone działania.

Teraz Kluzik-Rostkowska dostała z prokuratury informację, że „wszczęto śledztwo w sprawie dopuszczenia się (...) w hotelach Polskiego Holdingu Hotelowego (...) przez ustalonego prezesa ww. spółki, funkcjonariuszy ABW, ustalonego sekretarza stanu w MSWiA oraz bliżej nieokreślone osoby działań w postaci nielegalnego zlecenia lub zakładania i wykorzystywania urządzeń podsłuchowych (...) do inwigilacji członków polskiej oraz zagranicznej opozycji politycznej”. To postępowanie obejmuje również sprawę Kramka. ●

► 6-7

**W sprawie „dwóch wież”
prokuratura chroniła
Kaczyńskiego. Ani razu
nie został przesłuchany,
a śledztwo szybko
umorzono**

Witold
Mrozek

Cena sprzątania

Czy cieszę się, że doszło do zmiany w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku? Oczywiście, że tak. Dotychczasowe status quo w tej instytucji groziłoby kontynuowaniem toksycznej polityki historycznej PiS.

Minister Bartłomiej Sienkiewicz przegnał stamtąd nominata ministra Glińskiego, dr. hab. Grzegorza Berendta. Powodem jest „złożona wobec ministra deklaracja dyrektora o braku identyfikacji z polityką i działaniami Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego”. „Utratą zaufania” w 2017 roku Gliški tłumaczył zwolnienie Pawła Potoroczyna, dyrektora zajmującego się promocją kultury polskiej za granicą Instytutu Adama Mickiewicza. Uznano to za skandal, a Potoroczyn wygrał z Gliškim w sądzie.

Dziś to prawnik historyk mówi nowemu, konserwatywno-liberalnemu, ministrowi: „Nie ufaj mi, nie utożsamiam się z twoją polityką” – tu podwładny wypowiada zaufanie szefowi. Takie sytuacje nie są wprost uwzględnione przez polskie prawo jako powód odwołania dyrektora instytucji kultury.

Dlatego jeśli prof. Berendt zaskarży decyzję o zwolnieniu, sąd będzie ocenił ministra Sienkiewicza według tych samych kryteriów, co wcześniej ministra Gliškiego. Na tym też polega państwo prawa.

Wyobraźmy sobie, że odszkodowanie dla Berendta to 58 tysięcy zł plus odsetki. Dlaczego tyle? To kwota, którą wygrał właśnie w sądzie Dariusz Wieronieczny,

beprawnie zwolniony przez Gliškiego w „aferze wibratorowej” były dyrektor FilMOTEki Narodowej – Instytutu Audio-wizualnego. Wieronieczny to zresztą człowiek PiS, obecnie autor „Do Rzeczy”. O wyroku na jego korzyść napisałem w „Wyborczej” tego samego dnia, co o odwołaniu Berendta. Z punktu widzenia procedur obie te sytuacje są analogiczne. Istnieje tu jednak duża różnica i nie chodzi o barwy polityczne. To kwestia sensowności wydawania pieniędzy.

58 tysięcy zł to dużo. Ale porównajmy tę kwotę z tym, co wydajemy na Muzeum II Wojny Światowej – dotacja ministerialna w roku 2023 to 24,5 miliona zł. Albo na FilMOTEkę Narodową – to 33 miliony.

Instytucje kultury są w Polsce zarządzane formalnie jednoosobowo. Dlatego to od tego, czy w FilMOTEce siedzi pan Wieronieczny, czy – jak dziś – Robert Kaczmarek, zależy, czy te 33 miliony będą wydane mniej lub bardziej sensownie. Za Wieroniecznyka – choć nie przepadam za nim – były wydawane lepiej niż za Kaczmarka, który FilMOTEkę pogrążył w kryzysie i paraliżu.

Lepiej wydać 58 tysięcy na odszkodowanie za zwolnienie, niż przewalić 20 czy 30 milionów na fantazje niekompetentnego czy otwarcie wrogiego dyrektora. ●

Andrzej rysuje



Estonia. Od sauny do sauny



3 lutego, Otepää. Uczestnicy XIII Europejskiego Sauna Maratonu na starcie. Czteroosobowe drużyny muszą w wyznaczonym czasie odwiedzić jak największą liczbę wskazanych przez organizatorów saun.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Za ropę jak za wodę

5

MLD ZŁ

Co najmniej o tyle Orlen zaniżył cenę Lotosu – wynika z ustaleń NIK. Dziś Marian Banaś przedstawi wyniki kontroli

Światowy Prawnik Roku Igor Tuleya

Centrum Międzynarodowych Praw Człowieka (CIHR) Northwestern Pritzker School of Law w Chicago przyznało sędziemu Igorowi Tulei, członkowi Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia”, nagrodę Global Jurist of the Year. To prestiżowe wyróżnienie za niezłomną walkę o praworządność. – Dopóki walczymy, jesteśmy zwycięzcami. To nie obywatele, nie sędziowie, nie adwokaci, którzy biją się o tę praworządność, narzekają. To rządzący politycy się skarżą, że jesteśmy tym ostatnim bastionem, ostatnią barykadą, która stoi im na przeszkodzie do zrealizowania jakiejś ich wizji państwa” – mówił Igor Tuleya w jednym z wywiadów.

Kapituła nagrody doceniła odwagę Tulei jako jednego z niewielu sędziów, którzy otwarcie krytykowali postępowanie nominatów partyjnych i rządów Zjednoczonej Prawicy w polskim systemie sądownictwa oraz wypowiadali się przeciwko łamaniu konstytucji przez rząd PiS i Solidarnej (Suwerennej) Polski



Zbigniewa Ziobry. Sędziego spotkały za to szykany i prześladowanie ze strony rządzących zarówno w kontekście osobistym, jak i zawodowym.

Organizacja w uzasadnieniu decyzji o przyznaniu nagrody przypomniała, że w latach 2016-18 rząd Prawa i Sprawiedliwości oraz Solidarnej (Suwerennej) Polski wdrożył przepisy mające na celu podporządkowanie sądownictwa partiom rządzącym i zmieniające postępowanie sądowe.

Nagroda zostanie wręczona 7 marca podczas uroczystości w Northwestern Pritzker School of Law. ●

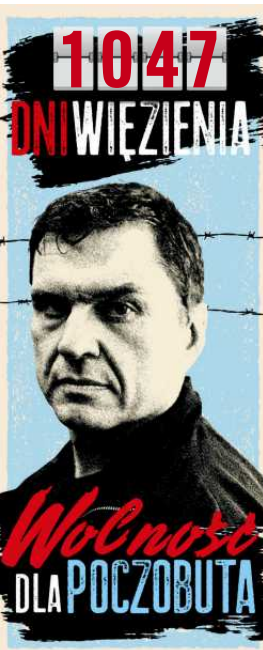
Agata Szczygielska-Jakubowska



*Przepraszam wszystkich,
którzy w wyniku takich decyzji
zostali poszkodowani
w jakikolwiek sposób*

TADEUSZ WILCZYŃSKI,

p.o. dyrektora Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku,
o przemocy wobec obrońców Puszczy Białowieskiej w 2017 roku



Resort zdrowia szuka kreta

Lekarze nie chcą obowiązku pisania na receptach nazw substancji zamiast nazw konkretnych leków. Boją się negatywnych skutków dla pacjentów. W departamencie polityki lekowej w Ministerstwie Zdrowia trwa tymczasem szukanie kretów, którzy zdradzili, że taka zmiana jest w ogóle szykowana. Sprawę zgłoszono nawet do CBA.

Judyta Watoła

Przed kilkoma dniami ujawniliśmy, że Ministerstwo Zdrowia chce, by lekarze na receptach pisali międzynarodowe nazwy substancji zamiast nazw handlowych, jakie nadają swoim preparatom konkretni producenci. Teraz lekarze, jeśli chcą, też mogą używać nazw międzynarodowych, ale po zmianie przepisów mieliby taki obowiązek i nie wolno by już im było używać nazw handlowych.

W ten sposób Ministerstwo Zdrowia chciałoby zaoszczędzić kilkaset milionów złotych w wydatkach na refundację rocznie. Liczy, że aptekarze wydawaliby pacjentom przede wszystkim najtańsze preparaty.

Oszczędzać na lekach 65+

W przypadku większości pacjentów dla NFZ nie ma znaczenia, czy kupują oni tani, czy drogi lek zawierający przepisaną przez lekarza substancję. Nie ma, bo różnicę w cenie między najtańszym a najdroższym preparatem pokrywamy z własnej kieszeni. Inaczej jest jednak w przypadku dzieci do 18. roku życia oraz pacjentów powyżej 65. roku życia. Większość leków z listy refundacyjnej należy im się za darmo. NFZ płaci 100 proc. bez względu na to, czy kupują tani, czy drogi preparat z daną substancją. Kiedy więc aptekarze będą im proponować najtańsze leki, fundusz zaoszczędzi.

Odpowiedzialny za politykę lekową wiceminister Maciej Miłkowski chciał utrzymania tych planów w tajemnicy. Dlatego we wrześniowym zarządzeniu o powołaniu zespołu do spraw preskrypcji oraz realizacji recept na leki gotowe i recepturowe, który pracuje nad nowymi zasadami wypisywania recept, znalazł się zapis, że jego członkowie „zachowują w poufności informacje, jakie powezną w związku z uczestnictwem w jego pracach oraz informacje związane z działalnością zespołu”. Po co? Według Miłkowskiego to było konieczne, bo członkowie zespołu omawiali wiele poufnych danych o sprzedaży leków i „niedoskonałościach systemu”. Odpowiadając na pytania „Wyborczej”, zaznaczył jednak, że raport z prac zespołu „będzie jawny i będzie zawierał praktycznie cały materiał, który był przedmiotem obrad”.

Początkowo środowisko polskich producentów nie było zbyt zainteresowane udziałem w pracach zespołu. Panowało przekonanie, że będzie się on zajmować ułatwieniami dla lekarzy w wypisywaniu recept przy jednoczesnej lepszej kontroli tego, co jest wypisywane. Zespół powołano bowiem niedługo po wielkich awanturach o recepty, które ministerstwo wywołało samo latem zeszłego roku. Najpierw wyznaczyło lekarzom limit do 300 recept dziennie, a potem kazało sprawdzać przy wypisywaniu leków odurzających i psychoaktywnych, czy pacjenci mieli je już wypisywane wcześniej. Obie decyzje wywołały zamieszanie w poradniach oraz szpitalach i po fali krytyki resort się z nich wycofał.

Revolucja ściśle tajna

Dopiero w połowie grudnia MZ ujawniło skład zespołu. Potem wyciekła informacja, że szykuje on nie tyle ułatwienia dla lekarzy, ile rewolucję dla pacjentów. Wypisywanie samych tylko substancji na receptach sprawi

bowiem, że w przypadku leków, które mają wiele odpowiedników, będziemy mogli dostać w aptecce preparat o innej nazwie i w innym opakowaniu. Tabletki będą mogły mieć inny kolor i wielkość. W przypadku osób przewlekłe chorych i starszych, które zażywają wiele leków naraz, może to wywołać bardzo duże zamieszanie. Poza tym sposób wchłaniania się danej substancji może zależeć od tzw. nośnika. Jest też inne ryzyko. Jeśli farmaceuta będzie mógł nam wydać dowolny produkt zawierający substancję z recepty, to wybór leków będzie u niego o wiele mniejszy. W sytuacji, w której nie będziemy chcieli zamieniać leku, trzeba go będzie szukać w innych aptekach.

– Nie zgadzamy się na taką ingerencję w nasz zawód. Leki zawierające tę samą substancję różnią się nośnikami i pacjenci różnie na nie reagują. U jednych dany produkt lepiej się wchłania, u innych gorzej. U jednych chorych nie wywołuje skutków ubocznych, u innych może się pojawić biegunka albo wysypka – mówi Łukasz Jankowski, prezes Naczelnej Izby Lekarskiej.

– Dla chorych na cukrzycę to byłby kłopot. Każda insulina to inne pióro do jej podawania. Pacjenci byłiby zdezorientowani – mówi prof. Krzysztof Strojek, krajowy konsultant w dziedzinie diabetologii. – Rzadko piszę na receptę „nie zamieniać”, ale radzę pacjentom w przypadku niektórych leków, by zamieniania unikali. Widzę, że jednak w wielu przypadkach działanie tej samej substancji wcale nie jest identyczne. I nie chodzi mi wcale o to, że lek droższy jest lepszy, bo nierzadko bywa na odwrót – mówi dr Marek Seweryn, internista i hematolog z Małopolski.

Nowe zasady wypisywania recept nie bulwersują największych zagranicznych koncernów. One albo produkują leki innowacyjne, które nie mają zamienników, albo leki, których używa się w szpitalach i nie sprzedaje w aptekach. Dla polskich firm nowe zasady mają jednak kolosalne znaczenie. Wytwarzają tylko leki generyczne, czyli takie, które mają na rynku wiele odpowiedników, a ich produkty nie są jednak wcale najtańsze. Najtańsze są leki firm azjatyckich. Dlatego Polski Związek Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego (PZPPF), Izba Gospodarcza „Farmacja Polska” oraz Polska Izba Przemysłu Farmaceutycznego i Wyrobów Medycznych „Polfarmed” 28 grudnia wystosowały wspólne pismo do ministrowi zdrowia Izabeli Leszczyny, zwracając jej uwagę, że proponowane zmiany odbijają się na sytuacji ich firm. Ich zdaniem, po tym, jak w czasie pan-

demii załamały się dostawy leków z Azji, Polska powinna – wzorem innych krajów – budować swoje bezpieczeństwo lekowe. To oznacza rozwijanie produkcji w kraju (polskie firmy też korzystają, produkując swoje leki za granicą lub importując stamtąd substancje czynne). Plany MZ popchną firmy jednak w przeciwnym kierunku. Na koniec pisma polskie firmy poprosiły o przekazanie im dokumentów z prac zespołu i włączenie ich do dalszych prac.

Głosowanie pół na pół

W odpowiedzi na pismo organizacji zrzeszających polskich producentów Miłkowski ani słowem nie tłumaczy się z planowanych zmian ani wynikających z tego zagrożeń. Niepokoi się za to, że członkowie zespołu rozpowszechniają informacje o tym, czym się on zajmuje, tymczasem „procesowi podejmowania decyzji nie jest konieczna społeczna kontrola na każdym jego etapie”. Dodał też, że włączenie nowych osób do zespołu nie ma sensu, bo opracował on już „koncepty w drodze głosowania poprzedzonego dyskusją”.

„Wyborcza” dowiedziała się jednak nieoficjalnie, że podczas głosowania w sprawie nowych zasad dotyczących recept dokładnie połowa jego członków była przeciwna zmianom forsowanym przez wiceministra Miłkowskiego i podległy mu departament polityki lekowej. Przyjęto więc, że głos Miłkowskiego – jako przewodniczącego – ma przeważające znaczenie i dopiero wtedy „wyszło, że zespół zmiany poparł”.

Teraz w ministerstwie trwa szukanie kreta lub kretów, którzy zawiadomili organizację polskich producentów o planowanych zmianach. Choć PZPPF i pozostałe dwie organizacje całkiem oficjalnie domagają się uwzględnienia ich głosu w dyskusji nad receptami, wszelkie próby ich kontaktu z członkami zespołu Miłkowski i podlegli mu urzędnicy postanowili potraktować jako nielegalny lobbying.

Mateusz Oczkowski, wicedyrektor departamentu polityki lekowej, a jednocześnie wiceprzewodniczący zespołu ds. recept, wysłał członkom zespołu wiadomość, w której prosi, by informowali go o każdej próbie kontaktu ze strony PZPPF.

„Zwracam się z prośbą o przekazanie wszystkich korespondencji, jakie otrzymał Państwo w tym zakresie, oraz informacji o wizytach oraz próbach kontaktu. Całość zebranego materiału zostanie przekazana do pani minister Leszczyny jako próba



FOT: SHUTTERSTOCK

Ujawniliśmy, że Ministerstwo Zdrowia chce, by lekarze na receptach pisali międzynarodowe nazwy substancji zamiast nazw handlowych, jakie nadają swoim preparatom konkretni producenci

lobbyngu przez podmioty odpowiedzialne na działalność zespołu” – zakończył Oczkowski.

Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że na ostatnim, czwartkowym zebraniu zespołu, ministerstwo poinformowało, że skierowało już nawet zawiadomienie do CBA. Jeden z członków zespołu miał na to odpowiedzieć pytaniem, czy na kolejne zebranie powinien przyjść ze szczoteczką do zębów. Poprosiliśmy Miłkowskiego o potwierdzenie tej informacji, ale nie odpowiedział na nasze pytanie. Zapytaliśmy też Damiana Kurasia, rzecznika MZ. „Czekamy na wyniki prac zespołu – tyle mogą powiedzieć” – odpisał.

Wydaje się, że konflikt między wiceministrem a PZPPF przybiera na sile. Dzień przed spotkaniem zespołu odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie doroczna konferencja „Priorytety w ochronie zdrowia”. W trakcie dyskusji o polityce lekowej doszło do ostrej wymiany zdań. Najpierw Miłkowski dziękował ministrze Leszczynie, że pozostawiła go na stanowisku wiceministra odpowiedzialnego za politykę lekową, i wyliczał swoje sukcesy. W odpowiedzi Krzysztof Kopec, prezes PZPPF, zarzucił mu, że w czasach rządów PiS prowadził pozorowany dialog, że niewiele zrobił, by wspierać krajowych producentów, i teraz jeszcze pominął ich w pracach zespołu, który ustala nowe reguły dla recept.

Zdenerwowany tą krytyką Miłkowski odparł, że PZPPF chce „zlikwidowania poprzedniego ministra, który teraz jest powołany”, a nawet więcej, bo „likwidacji wszystkich osób, które do tej pory pracowały” w departamencie polityki lekowej. – Jeśli do prokuratury chcą mnie państwo podać za to, że jeszcze czegoś nie zrobiłem, no to to jest osobiste chyba takie, (to) chęć zlinchowania osoby, a ja staram się dla pacjentów, żeby było jak najlepiej – zakończył. ●

Fundusz Sprawiedliwości

Popcornem w przestępc

Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, wiceministra sprawiedliwości: Żaden z celów Funduszu Sprawiedliwości nie został zrealizowany, pieniądze lały się szerokim strumieniem.

ROZMOWA Z
ZUZANNĄ RUDZIŃSKĄ-BLUSZCZ

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: O jakich pieniądzach mówimy?
ZUZANNA RUDZIŃSKA-BLUSZCZ: W ciągu pięciu lat z Funduszu Sprawiedliwości wydano ok. 2 mld zł.

Z czego np. 21 mln zł otrzymały organizacje prowadzone przez o. Tadeusza Rydyka.

– Widzę, że pan redaktor zaczyna od sensacji. Konkretnie – 21,5 mln zł. Kolejne 600 tys. zł dostała Akademia Kultury Społecznej i Medialnej, którą prowadzi fundacja Lux Veritatis. Zresztą te podmioty zawierały także umowy w ramach działania innych departamentów Ministerstwa Sprawiedliwości. Niedawno odkryłam, że toruńska akademika za kilka milionów wyszkoliła również z kompetencji komunikacyjnych ponad tysiąc prokuratorów w ramach umowy zawartej przez departament strategii i funduszy europejskich. W tym roku z Funduszu Sprawiedliwości o. Tadeusz Rydyk miał otrzymać 2,3 mln zł. Pierwsza transza dla niego, wypłacana w styczniu, wynosiła 1,1 mln zł. Te pieniądze zostały wstrzymane, przed naszą weryfikacją nie trafią do Torunia. Pamiętajmy jednak, że nie chodzi tu o to, czy dana organizacja jest katolicka, czy nie – chodzi o cel funduszu, jakim jest pomaganie osobom potrzebującym, w konkretnej sytuacji życiowej.

Dlaczego pieniądze nie zostaną wypłacone?

– Ponieważ w wyniku kontroli wewnętrznej prowadzonej przez urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości (MS), rozmów z pracownikami MS oraz informacji dostępnych publicznie nabraliśmy podejrzeń co do prawidłowości umowy zawartej pomiędzy państwem a fundacją. Już pod koniec grudnia wstrzymałam wypłaty styczniowej transzy wszystkim organizacjom i instytucjom, którym przyznano dotacje w poprzednich konkursach ogłoszonych przez Fundusz Sprawiedliwości, naborach albo w tzw. trybie pozanaborem. W ubiegłym tygodniu została zakończona pierwsza część audytu.

Nabrano podejrzeń wobec ok. 41 proc. umów. Pierwsza transza wypłaty w 2024 r. nie została wypłacona w odniesieniu do 46 ze 112 umów. Łącznie mówimy o przeszło 54 mln zł tylko w odniesieniu do pierwszej transzy.

Jednocześnie działają prokuratury, część umów weryfikuje Prokuratura Generalna na naszą prośbę, za chwilę pracę ma rozpocząć Najwyższa Izba Kontroli. Badamy przede wszystkim cel udzielanych dotacji, prawidłowość całego procesu decyzyjnego, a także takie aspekty jak gospodarność, oszczędność wydatków oraz realizacja zapisów umów.

Jakim organizacjom wstrzymaliście wypłatę pieniędzy?

– Zależy, o których programach rozmawiamy. Najlepsza sytuacja jest w tym obejmującym pomoc postpenitencjarną, co zresztą pokrywa się z ostatnią kontrolą, jaką przeprowadziła w funduszu NIK. Najgorzej jest w programie przeciwdziałania przestępczości, który był prawdziwym workiem bez dna. To z tego programu pieniądze szerokim strumieniem szły do kół gospodyń wiejskich. Mój poprzednik, minister Marcin Romanowski, mówił, że „kobiety widzą więcej i są bardziej empatyczne, często szybciej reagują, mają energię do podejmowania działań na rzecz wspólnego dobra”. Dlatego MS przekonywało, że wyznaczyło koła gospodyń wiejskich jako strażników przed przestępczością lokalną. I w ramach przeciwdziałania przestępczości zakupiono m.in. maszynę do popcornu, maszynę do waty cukrowej, opiekacz do zapiekanek, grill czy ogrodowy robot kuchenny. Żeby była jasność, nie twierdzę, że KGW nie zasługują na wsparcie. Przeciwnie, uważam, że KGW to często serce lokalnej społeczności. Niemniej źródłem ich finansowania nie powinien być fundusz pomagający ofiarom przestępstw.

W ramach tego samego programu w tym roku stowarzyszenie Fidei Defensor, związane z posłem Dariuszem Mateckim (Suwerenna Polska), miało otrzymać prawie 1,5 mln zł, a pierwsza transza wynosiła 300 tys. zł. Łączna kwota dotacji przyznanej stowarzyszeniu Fidei Defensor na lata 2021–2025 to przeszło 7 mln zł.

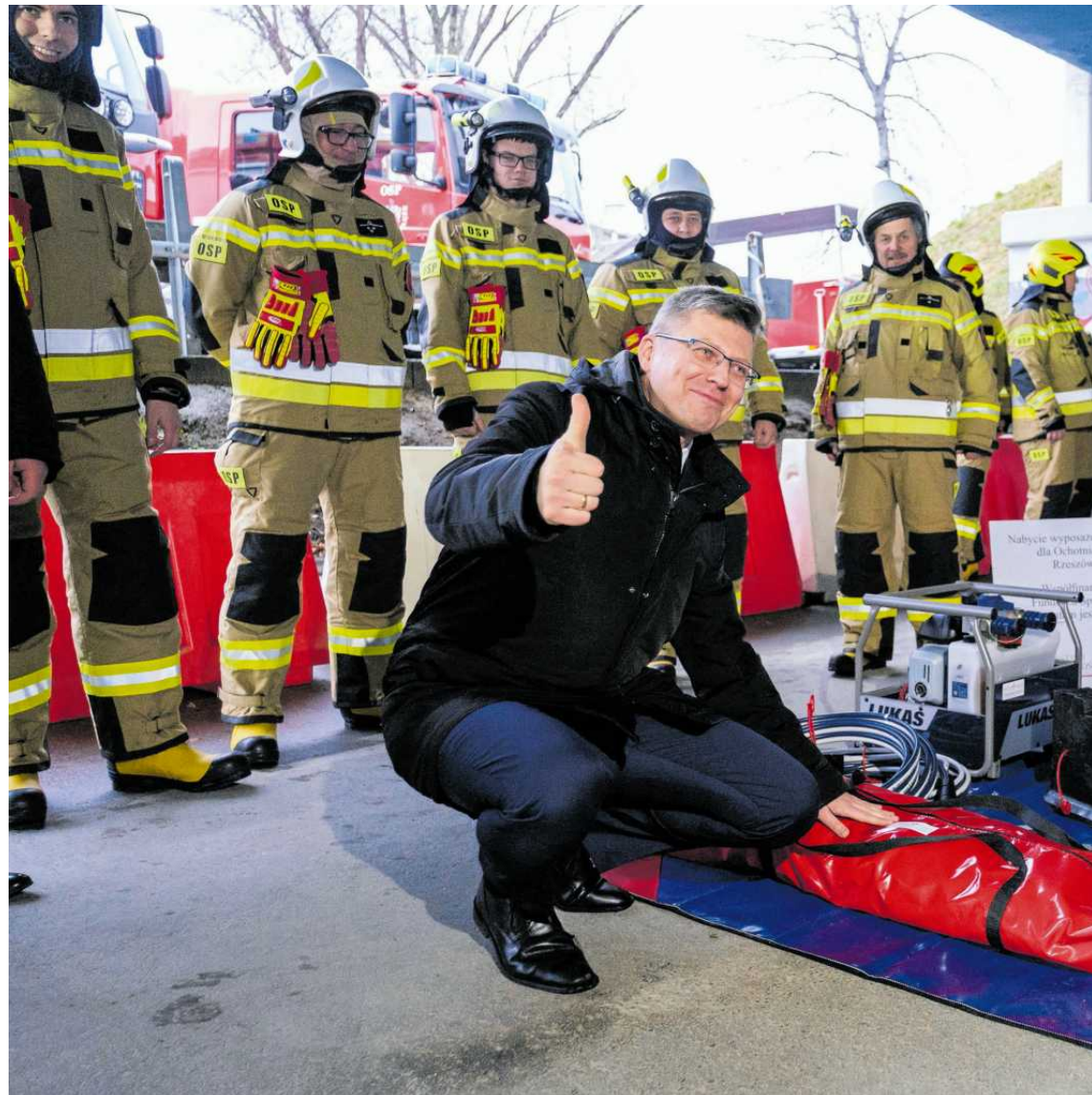
Wstrzymaliśmy również 11 mln zł, które miały zasilić Akademię Wymiaru Sprawiedliwości, powołaną przez Zbigniewa Ziobrę. Działalność akademii budzi duże wątpliwości, trwa w niej aktualnie kontrola nadzorowana przez ministrami Marię Ejchart.

Z tych pieniędzy Centralne Biuro Antykorupcyjne kupiło program Pegasus, którym szpiegowano polityków ówczesnej opozycji i niepokornych prokuratorów. Czy wiadomo, kto podpisał zgodę na ten kontrowersyjny zakup?

– Materiały na ten temat są objęte klauzulą tajemnicy. Co do zasady wszystkie decyzje były wydawane przez dyrektora departamentu Funduszu Sprawiedliwości i wiceministra, który nadzorował departament.

Czy wiadomo, jak dokładnie działał mechanizm przyznawania dotacji?

– Kluczowe były detale i to je badamy. Pytania się mnożą. Czy wszyscy potencjalni beneficjenci mieli równy dostęp do 100 mln zł przyznanych na budowę ośrodka dla pokrzywdzonych na Wilanowie w Warszawie przez Profeto? Dlaczego świeżo założone organizacje otrzymywały wielomilionowe dotacje? Albo jako jedyne startowały do konkursów? Albo wygrywały z bardzo doświadczonymi stowarzyszeniami, zajmującymi się od lat pomocą pokrzywdzonym? Dla mnie zaskoczeniem były kryteria oceny



wniośków. Okazało się, że liczba lat doświadczenia organizacji zupełnie nie była brana pod uwagę. A przecież mówimy o pomocy ofiarom przestępstw, gdzie doświadczenie organizacji jest kluczowe, gdzie trzeba chronić osoby korzystające z pomocy w szczególny sposób przed powtórą wiktymizacją, nie dopuścić do jakiegokolwiek formy dyskryminacji. I jeszcze: promocja.

W ubiegłych latach przeznaczano kilkanaście milionów rocznie na reklamy – w dużej mierze nie funduszu, lecz samego Ministerstwa Sprawiedliwości i stojących na jego czele polityków. TVP i jej regionalne oddziały otrzymały w 2023 r. 1,7 mln zł za wykup czasu antenowego.

A ile pieniędzy dostała fundacja Strażnik Pamięci, założona przez dziennikarzystę tygodnika „Do Rzeczy”, gdzie za pieniądze publiczne drukowano homofobiczne artykuły?

– Łączna suma udzielonych dotacji w ramach trzech umów wynosiło przeszło 8 mln zł.

Jaki jest w tym roku budżet na promocję?

– 20 mln zł.

I jak będą wydawane te pieniądze?

– Z całą pewnością promocja Funduszu Sprawiedliwości powinna służyć ludziom, a nie politykom. Choć wiedza o funduszu, jak wskazują badania, jest znaczna, obawiam się, że dużo ludzi kojarzy go z pojawiającymi się w przestrzeni publicznej określeniami takimi jak: fundusz niesprawiedliwości, skarbonka Suwerennej Polski. Chciałabym zbudować zaufanie do funduszu u tych, którzy mogą z niego skorzystać, i dotrzeć do nich z informacją, jak mogą to zrobić. Partnerami funduszu w niesieniu pomocy ludziom są w dużej mierze organizacje społeczne, które mają duże doświadczenie w tym obszarze – promocja powinna także mieć na celu dotarcie do nich, by mogły złożyć swoje oferty w konkursach.

Czy jest coś, co w funduszu działało dobrze?

– Zgadzam się z oceną NIK, że pozytywnie trzeba ocenić powstanie sieci pomocy pokrzywdzonym. Działa 305 punktów, do których ofiary przestępstw mogą się zgłaszać po pomoc prawną i psychologiczną. Idea jest dobra, choć wykonanie pozostawia wiele do życzenia. Niektóre z punktów pomogły tylko jednej osobie przez rok. Oczywiście działają też świetnie zorganizowane punkty, ale musimy kontrolować te, które nie działają w zadowalający sposób. Trzeba przemyśleć system, tak by docierał do jak największej liczby potrzebujących, a jednocześnie był funkcjonalny.



Zuzanna Rudzińska-Bluszcz

• Prawniczka zajmująca się prawami człowieka, radczyni prawna, wcześniej adwokatka. W latach 2021–23 prezeska fundacji ClientEarth Prawnicy dla Ziemi. W latach 2015–21 główna koordynatorka ds. strategicznych postępowań sądowych Biura Rzecznika Praw Obywatelskich. Trzykrotna kandydatka na urząd rzecznika praw obywatelskich. Była zaangażowana w wiele spraw sądowych dotyczących praw człowieka, w tym wolności wypowiedzi, praw osób z niepełnosprawnościami oraz dyskryminacji. Była także sędzią Wyższego Sądu Dyscyplinarnego Adwokatury oraz członkinią Zespołu ds. Kobiet przy Naczelnej Radzie Adwokackiej.

Fundusz Sprawiedliwości

Zość



Nie rozumiem, jak zgodnie z obowiązującym prawem można było przekazywać pieniądze niezgodnie z celem. – W 2017 r. poszerzono znacząco zakres przyznawania dotacji. Wprowadzono bardzo szerokie kompetencje ministra: do przyznawania dotacji poza konkursem czy podpisywania w uzasadnionych (tak to nazwano w przepisach) przypadkach umowy o powierzenie zadania, które nie jest objęte programem, lub poza naborem wniosków. Mówiąc prościej: minister sprawiedliwości może przyznać pieniądze dosłownie każdemu, a także odmówić wypłacenia dotacji, mimo że komisja konkursowa rekomenduje co innego.

Czyli wszystko zrobiono zgodnie z prawem? – W tym przypadku zgodnie z przepisami wprowadzonymi w 2017 r. Dziś, jeśli chcielibyśmy zbadać konstytucyjność tych zapisów, możemy iść do Trybunału Konstytucyjnego.

Co w obecnym systemie nie ma sensu. – Dokładnie. Ale przepisy to nie wszystko. Błędna była też praktyka. Gołym okiem widać np., że art. 61 konstytucji, który mówi o dostępie do informacji publicznej, nie był realizowany. Przez wiele lat ograniczono dostęp do informacji o funduszu, zasłaniano się tajemnicą przedsiębiorstwa, nie ujawniano beneficjentów przyznanych kwot, a także ofert, które składały organizacje.

Ministerstwo będzie mogło odzyskać te 2 mld zł? – W planie pracy Najwyższej Izby Kontroli jest dokładna kontrola Funduszu Sprawiedliwości od daty ostatniego ra-

portu NIK, czyli od 2021 do 2024 r. Rozliczonymi umowami także się zajmujemy. Będziemy priorytetowo traktować umowy, których realizacja jest w toku, ale też unikać powielania pracy kontrolerów NIK. Mogę zapewnić, że po uporaniu się z bieżącymi płatnościami zwrócimy naszą uwagę w stronę przeszłości.

Kiedy zakończą się audyt i praca prokuratorów? – Jestem na bieżąco informowana o wynikach pracy kontrolerów, ponieważ naszym głównym celem jest pomoc osobom potrzebującym. Proszę pamiętać, że z Funduszu Sprawiedliwości nadal są finansowane organizacje zajmujące się kompleksową pomocą ludziom, którzy są ofiarami przemocy albo którzy dopiero co wyszli z więzienia. Dlatego nikt z potrzebujących nie zostanie pozbawiony pomocy, którą ma zapewniać sieć pomocy pokrzywdzonym i sieć pomocy postpenitencjarnej, finansowana z funduszu. Dlatego w momencie otrzymania od kontrolerów informacji, że dana umowa nie budzi ich zastrzeżeń, pierwsza tranza pieniędzy jest wypłacana.

Jednak sporo pieniędzy zostanie w kasie ministerstwa. Co się stanie z tymi funduszami? – W czwartek minister powołał zespół doradców, którzy wydadzą rekomendację, jak środki z Funduszu Sprawiedliwości mają być wydatkowane w przyszłości w sposób jawny, transparentny i gospodarny. Przewodniczącym zespołu został sędzia Jerzy Stępień, a w jego składzie znaleźli się specjaliści z zakresu prawa karnego, postępowania karnego, prawa konstytucyjnego, jak również praw migrantów czy wydatkowania środków publicznych. W skład zespołu doradców wejdzie także każdorazowy dyrektor departamentu Funduszu Sprawiedliwości – obecnie na tym stanowisku jest wakat. Poprzednia dyrektorka odeszła tuż przed naszym przyjściem.

Dlaczego? – Nie wiem. Zaskoczyło mnie, że nie czekała na nowego ministra i wiceministra i nie przekazała szczegółów funkcjonowania funduszu.

Kto będzie jej następcą? – Pojawi się już w lutym.

I jak się nazywa? – Nie mogę tego w tym momencie zdradzić. To osoba, która od wielu lat jest związana z administracją publiczną.

Co pani zastała w tym departamencie? – Na przykład w tym tygodniu odkryliśmy szafy pełne gadżetów promocyjnych: misie, plecaki, torby, gry z logo funduszu. Wieść korytarzowa niesie, że zostały zamówione przed wyborami, ale materiały dostarczono już po 15 października, więc zalegają w gabinecie bylej już dyrektorki Funduszu Sprawiedliwości. Poprosiłam o inwentaryzację. Będziemy się zastanawiać, komu najbardziej się przydadzą. Ale będziemy też badać celowość tego zamówienia.

Po co ten fundusz?

• Powołany w 2011 r. Fundusz Sprawiedliwości miał jeden cel: pomoc prawną i psychologiczną ofiarom przestępstw. Miały jej udzielać organizacje pozarządowe i samorządy za pieniądze pochodzące z funduszu, który działał w Ministerstwie Sprawiedliwości. Po 2017 r. fundusz stał się jednak politycznym narzędziem do wspierania organizacji sprzyjających Suwerennej Polsce Zbigniewa Ziobry, który kierował ministerstwem.

Wiemy, jak działał fundusz po 2017 r. A jak ma działać teraz? – Celem przyjętej w 2011 r. ustawy powołującej Fundusz Sprawiedliwości były spójna i przejrzysta polityka pomocy pokrzywdzonym, racjonalne wydatkowanie środków finansowych, przestrzeganie zasady jawności i przejrzystości finansów publicznych. Żaden z tych punktów nie był w pełni realizowany przez ostatnie lata. Od 13 lat nie powołano funkcji opiekunów ofiar, czyli sieci wolontariuszy, którzy w miarę potrzeby mogliby towarzyszyć pokrzywdzonemu od momentu zgłoszenia na policję aż po powrót do domu.

Nie została powołana ani przez rząd PO-PSL, ani przez gabinet Mateusza Morawieckiego. Czy teraz sytuacja się zmieni? – Zdiagnozujemy obecne potrzeby ofiar przemocy. I wówczas podejmiemy decyzję.

Czy zostanie zmieniona rola ministra, który może jednoosobowo decydować o przyznawaniu dotacji? – Z całą pewnością praktykę arbitralnego decydowania przez ministra, także wbrew opinii komisji konkursowych, trzeba zmienić. Chciałabym także doprecyzować nadużywane „szczególne okoliczności” czy „przeciwdziałanie przyczynom przestępstw”.

„3 mln dzieci otrzymały z funduszu kamizelki odblaskowe” – mówił poseł Michał Wójcik podczas ostatniego posiedzenia Sejmu. Jak pani odpowiada na ten argument? – Przypominam ustalenia kontrolerów NIK, którzy napisali w swoim raporcie, że kamizelki zostały zakontraktowane bez jakiegokolwiek wcześniejszej konsultacji, a podobna akcja była przeprowadzona dosłownie w tym samym roku wcześniej przez policję, samorządy czy PZU w ramach akcji „Odblaski – dziecko bezpieczne na drodze”.

„Nowe kierownictwo ministerstwa krytykuje Fundusz Sprawiedliwości, bo wspierane były z niego projekty walczące z chrystianofobią” – mówił były minister Marcin Romanowski. – Mam na to inny cytat, również pana ministra: „Fundusz Sprawiedliwości chro-

nił zatem i wspierał fundamentalne wartości, które stanowią podwaliny dobrze zorganizowanego, sprawiedliwego społeczeństwa, w którym szanuje się prawa innych. Ale to wartości konstruujące polski kod kulturowy, których lewica i liberalowie zwyczajnie nienawidzą”. Fundusz Sprawiedliwości powinien działać poza jakimkolwiek światopoglądem i ideologią. Fundusz nie jest ani lewicowy, ani konserwatywny, nie jest też centrowy. Fundusz Sprawiedliwości ma służyć osobom w trudnej sytuacji życiowej, realizuje konkretnie wskazane cele publiczne określone w ustawie. Przy wydatkowaniu środków z funduszu nie ma znaczenia, jaki jest polski kod kulturowy – liczy się pomoc człowiekowi, ostatecznemu beneficjentowi środków publicznych.

Czyli nie będziecie odbierać dotacji organizacjom, które mają w nazwie „katolicki”? – Nie będziemy. Chylę czoła przed wieloma organizacjami katolickimi, które pomagają ludziom w potrzebie. Chylę czoła przed strażakami, doceniam każde spotkanie z kołami gospodyń wiejskich. Natomiast jako wiceministra odpowiedzialna za fundusz będę stała na straży wydatkowania pieniędzy zgodnie z prawem.

Jeśli jednak któryś z polityków koalicji tworzącej nowy rząd przyjdzie do pani gabinetu i poprosi o wsparcie finansowe dla organizacji działającej w jego okręgu wyborczym, to co pani zrobi? – Taka sytuacja byłaby sprzeczna z prawem i moim systemem wartości. Odpowiedziałabym takiemu politykowi, że zasady ubiegania się o środki z funduszu są jawne, i odesłałabym do Biuletynu Informacji Publicznej oraz strony internetowej. Zasady działania funduszu zakładają równy dostęp wszystkich beneficjentów i transparentność. Decyzje związane z przyznawaniem dotacji ze środków publicznych nie mogą być podejmowane w zaciszu ministerialnych gabinetów.

Ale czy pojawiają się polityczne naciski, żeby nie ruszać funduszu, bo może się przydać? – Nie spotkałam się z naciskami politycznymi, choć debata w Sejmie w sprawie funduszu była burzliwa. ●

OGŁOSZENIE PŁATNE

KRAJ/34300641

NOWY ROK, NOWE ŻYCIA DO URATOWANIA. POMÓŻCIE JE OCALIĆ!

Gdy z głodu umiera pies, nie ma znaczenia pora dnia ani kondycja finansowa fundacji, trzeba działać i ratować. Zagłodzona starsza suczka owczarka, konata na podwórku gdzie nawet nie miała budy. Sadyści zgotowali jej okrutną powolną śmierć. Gdy przyjechalśmy na miejsce, z powodu zaniku mięśni i skrajnego odwodnienia, nie miała nawet siły stać o własnych siłach. Żywy szkielet. Walczyliśmy o nią z całych sił, jednak tym razem pomoc przyszła za późno. Pomimo reanimacji w klinice, zgasła.

Koszty tej i innych interwencji są ogromne. Już w lutym idziemy na rozprawę człowieka który znęcał się nad innym psem, którego odbieraliśmy w podobnym stanie i jego na szczęście udało się go uratować.

Ocalona niewidoma klacz i jej źrebak już u nas ale okazało się, że klaczka jest w ciąży! Niestety jej stan zdrowia jest zły, a specjalistyczne badania USG wykazały groźne zapalenie łożyska więc obecnie walczymy o życie nienarodzonego jeszcze źrebaka. **Łągamy o Wasze wsparcie. Każdego miesiąca borykamy się z problemami finansowymi. Ale wierzymy, że i tym razem nam pomożecie**

BLIK: 607 140 557

Fundacja Przyjaciel Zwierz

27 1140 2004 0000 3002 8022 2498

Tytułem: interwencje i zagrożona ciąża

ul. Czarująca 22, 05-505 Ławki

tel. 882 466 762



Prokuratura znów zajmie się sprawą „dwóch wież”

Będzie śledztwo w sprawie „dwóch wież” – deweloperskiego biznesu spółki Srebrna, w który zaangażował się Jarosław Kaczyński. Inwestycja za 1,3 mld zł nigdy się nie rozpoczęła. Biznesmen, który ją przygotowywał, oskarżył prezesa PiS o oszustwo. W 2020 r. prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa.

**Wojciech Czuchnowski
Iwona Szpala**

O tym, że prokuratura „przyjrzy się sprawie dwóch wież w trybie procesowym”, mówi w wywiadzie dla poniedziałkowego „Newsweeka” nowy prokurator krajowy Jacek Bilewicz. Nieoficjalnie „Wyborcza” dowiedziała się, że decyzja jest już podjęta i śledztwo będzie ponownie wszczęte.

Deweloper Kaczyński

Historię debiutu deweloperskiego powiązanej ze środowiskiem PiS spółki Srebrna w 2019 r. opisała „Wyborcza”. Kulisy zamierzenia wyszły na jaw po kilkunastu miesiącach przygotowań.

Bliźniacze wieże lub K-Towers – od nazwiska braci Kaczyńskich – miały być jednymi z wyższych budynków w mieście. Działkę na warszawskiej Woli szykowała Srebrna. Właścicielem spółki jest Instytut im. Lecha Kaczyńskiego, a miejsca w radzie fundacji dzielił prezes PiS Jarosław Kaczyński, były ksiądz Rafał Sawicz i przewodniczący Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański. Była żona Czabańskiego i była asystentka Kaczyńskiego są w zarządzie Instytutu.

W 2017 r. do zaufanych dołączył Gerald Birgfellner, austriacki biznesmen powiązany rodzinnie z Kaczyńskim. Jak opowiadał „Wyborczej”, a potem prokuraturze, prezes PiS zrobił go odpowiedzialnym za projekt.

Latem 2018 r. Jarosław Kaczyński, obawiając się, że deweloperka może źle wpłynąć na notowania PiS przed wyborami samorządowymi, zawiesił projekt. Birgfellner, który pracował przy nim przez 14 miesięcy, został z rachunkami do opłacenia. Srebrna odmówiła mu wypłaty honorarium, a Jarosław Kaczyński tłumaczył, że biznesmen nie ma przekonujących dowodów na swoje wydatki. Poradził mu, by wynagrodzenia dochodził w sądzie.

Wszystkie te deklaracje Birgfellner nagrał. Z Kaczyńskim spotykali się przy Nowogrodzkiej. Biznesmen nagrywał tylko ostatnie rozmowy – gdy zaczął się bać, że został oszukany. Wcześniej robił notatki po każdej z wizyt, stąd znamy m.in. datę rozmowy o finansowaniu inwestycji, na którą Kaczyński ściągnął Michała Krupińskiego, ówczesnego szefa państwowego banku Pekao SA.

Część nagrań opublikowała na początku 2019 r. „Wyborcza”. Już wtedy Birgfellner zawiadomił prokuraturę, że Kaczyński oszukał go w interesach.

Sprawę dostała prokurator Renata Śpiwak. Po 50 godzinach przesłuchań Birgfellnera odmówiła wszczęcia śledztwa. Nie było więc postępowania dowodowego, przesłuchań świadków. Za to w uzasadnieniu swojej



• Bliźniacze wieże miały być jednymi z wyższych budynków w Warszawie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sawicz to były ksiądz, który wraz z Kaczyńskim zasiada we władzach fundacji – właściciela Srebrnej

decyzji prokurator Śpiwak zacytowała fragment zeznań Kaczyńskiego z innego postępowania, gdy prezes PiS doniósł na „Wyborczą” i polityków PO jako pomówiony. Zeznał tam, że sam niczego biznesmenowi nie zlecał. Jako przewodniczący rady Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego owszem, rozmawiał o inwestycji, ale raczej ogólnie. Nie miał wpływu na decyzje Srebrnej. Raz czy dwa rozmawiali enigmatycznie o wynagrodzeniu Birgfellnera. Prokurator Śpiwak dała wiarę wersji wydarzeń przedstawionej przez Jarosława Kaczyńskiego.

Koperta dla księdza Sawicza

Wśród zarzutów opisanych w zawiadomieniu Birgfellnera była sprawa koperty z 50 tys. zł, którymi opłacił podpis Rafała Sawicza. Dla Kaczyńskiego „koperta dla księdza” może być najpoważniejszym problemem w sprawie.

Sawicz to były ksiądz, który wraz z Kaczyńskim zasiada we władzach fundacji – właściciela Srebrnej. Bez zgody rady fundacji spółka

nie mogła rozpocząć inwestycji. Birgfellner zeznał, że 7 lutego 2018 r. wypłacił 50 tys. zł, na co ma dowód z banku, potem pojechał na Nowogrodzką. Jak zeznał przed prok. Śpiwak, kopertę przekazał Kaczyńskiemu, a ten wręczył ją b. księdzu. W zamian Sawicz złożył podpis.

Informacja o tych zeznaniach natychmiast została przekazana Zbigniewowi Ziobrze. Jak ujawnił „Fakt”, następnego dnia u Ziobry zjawił się Kaczyński. Nigdy nie ujawniono, o czym rozmawiali, ale był to jedyny raz, gdy prezes PiS przyjechał do prokuratora generalnego.

Kilka dni później „Wyborcza” ujawniła treść zeznania Birgfellnera. Prokuratura wszczęła wtedy śledztwo... w sprawie ujawnienia tajemnicy postępowania.

We wrześniu 2023 r. opublikowaliśmy nagranie tych zeznań. Biznesmen mówił, jak Kaczyński tłumaczył, dlaczego musiał dać pieniądze Sawiczowi: „Powiedział mi, że żeby zdobyć podpis. A żeby otrzymać podpis, musimy księdzu coś zapłacić. Ja się zapytałem, ile musimy zapłacić. Powiedziałem [zapytałem] 100 tysięcy, 200 tysięcy złotych? Nie wiem ile. On powiedział: »100 tysięcy«. Mnie się zdawało, że my zapłacimy wtedy, kiedy będziemy mieć kredyt. On powiedział: »nie, ksiądz przyjedzie, on potrzebuje pieniądze«. Ja, że nie mogę tak szybko [niezrozumiałe] 100 tysięcy złotych. Ja powiedziałem, że mogę dać na szybko 50 tysięcy złotych, z moich prywatnych pieniędzy”.

I dalej: „Przekazałem kopertę i pan Kaczyński z kopertą poszedł do [niezrozumiałe „tego swojego”?] pokoju, gdzie pan Sawicz już siedział. 20 minut później ksiądz Sawicz wyszedł... Wydaje mi się, że siedział koło pani Basi [Barbara Skrzypek, wieloletnia asystentka Jarosława Kaczyńskiego, miała minimal-

ne udziały w Srebrnej, dziś zasiada w zarządzie Instytutu], żeśmy podali sobie dłoń i ponownie weszliśmy z panem Kaczyńskim do pokoju. Ja wszedłem z nim do pokoju... I wtedy poinformował mnie, że podpis został złożony. Wydaje mi się, że wtedy mi tą uchwałę [rady fundacji Instytutu ze zgodą na rozpoczęcie inwestycji] przekazał”.

Wątek koperty znalazł się w oddzielnym postępowaniu. Prokuratura nie przesłuchiwała w tej sprawie ani Jarosława Kaczyńskiego, ani byłego księdza Sawicza. W październiku 2019 r. umorzyła postępowanie.

Birgfellner wyjechał z Polski, a mec. Roman Giertych, reprezentujący go w tej sprawie, stał się celem ataków upolitycznionych organów ścigania państwa PiS. – Brak wszczęcia śledztwa w sprawie „dwóch wież” to jeden z większych skandali prokuratury czasów PiS – komentuje Giertych. Dziś jest posłem KO i kieruje zespołem ds. rozliczenia rządów PiS. – Szczególnie sprawa koperty wręczonej Jarosławowi Kaczyńskiemu musi zostać do końca wyjaśniona. Dotychczas jedynym działaniem prokuratury, które wynikało ze złożonego przeze mnie w imieniu Gerarda Birgfellnera zawiadomienia, była decyzja Bogdana Święczkowskiego o przeniesieniu z Warszawy do Wrocławia sprawy Polnord z nakazem poszukiwania czegokolwiek przeciwko mnie [prokuratura próbowała postawić Giertychowi zarzut z art. 296 kodeksu karnego – o nadużycie zaufania lub uprawnień w obrocie gospodarczym, w związku z art. 284 kk – przywłaszczenie]. Decyzja ta została podjęta kilka dni po tym, jak do prokuratury wpłynęło podpisane przeze mnie zawiadomienie na Jarosława Kaczyńskiego.

PiS „wypala gorącym żelazem” każdą korupcję

Dzień po publikacji nagrań z przesłuchania biznesmena pod siedzibą PiS na Nowogrodzkiej stanęli posłowie KO Arkadiusz Myrcha i Robert Kropiwnicki.

– Dzisiejsza „Wyborcza” ujawnia materiały z przesłuchań, które zostały sporządzone przy okazji doniesienia i oskarżenia Jarosława Kaczyńskiego o łapówki – mówi poseł PO Arkadiusz Myrcha. – Sprawa nie została do dziś w sposób należyty wyjaśniona, zrobiono z niej polityczny cyrk. Cała Polska obserwowała, jak upolityczniona prokuratura wyla się, żeby tylko Jarosław Kaczyński nie został w tej sprawie przesłuchany. W sprawie koperty prokurator miał obowiązek przesłuchać Jarosława Kaczyńskiego. Skoro tego nie zrobił, to w przyszłości powinien podlegać odpowiedzialności karnej – podsumował.

– To nie jest przypadek, że tuż po zeznaniach pana Birgfellnera Kaczyński pojechał do prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry. No po co pojechał? – pytał poseł Robert Kropiwnicki. – Na kawę? Ciasteczka? Czy może przejrzyć akta i zeznania?

Gdy posłowie PO skończyli mówić, mikrofony przejęli rzecznik PiS Rafał Bochenek i rzecznik rządu Piotr Müller. Ogłosili, że PiS „wypala gorącym żelazem” każdą korupcję. Sprawa korupcji przy „kopercie dla księdza” – według Bochenka – nie istnieje. Rzecznik PiS mówił, że nie ma materiału dowodowego ani najmniejszego nawet prawdopodobieństwa „wręczenia koperty”.

– Sprawa jest wydumana, wymyślona, zakończona – ogłosił. Pytany przez dziennikarza o to, skąd ma takie informacje, Bochenek odparł: „Wiem to od osób zaangażowanych na poziomie partyjnym”.

Były ksiądz Rafał Sawicz od kilku lat jest nieuchwytny. ●

Powrót „hotelu na podsłuchu”

Prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie „bezpprawnej inwigilacji” w hotelach państwowego Polskiego Holdingu Hotelowego oraz przekazania przez prezesa PHH posłowi PiS informacji o spotkaniu polityków opozycji w jednym z hoteli zarządzanych przez holding.

Wojciech Czuchnowski

W czwartek do domu Roberta Ziółkowskiego weszła policja z prokuratorskim nakazem rewizji oraz zajęcia komputerów, telefonów komórkowych oraz innych nośników informacji. Nakaz wydała Prokuratura Rejonowa dla Warszawy-Śródmieścia, która ściga Ziółkowskiego za nękanie prezesa PHH Gheorghe’a Cirstescu.

Wezwanie „przy okazji”

– Byłem w takim szoku, że nie zauważyłem, że jeden z policjantów dał mi „przy okazji” wezwanie na przesłuchanie, które dotyczy innego postępowania. Mam być świadkiem w sprawie przekroczenia uprawnień przez wysokiego urzędnika państwowego – mówi „Wyborczej” Ziółkowski.

Jak sprawdziliśmy, tym urzędnikiem jest Maciej Wąsik, wiceszef MSWiA za rządów PiS i do niedawna poseł tej partii skazany przez sąd za nadużycia w służbach specjalnych i po 12 dniach więzienia ułaskawiony przez prezydenta Dudę.

24 stycznia 2024 r. warszawska prokuratura okręgowa wszczęła śledztwo „w sprawie zlecenia w latach 2019-21 bezprawnej inwigilacji przez ustalonego zastępcę koordynatora służb specjalnych i sekretarza stanu w MSWiA”. W latach 2019-21 tę funkcję pełnił Wąsik.

Inwigilacja Kramka i mail do Brudzińskiego

Ziółkowski był w PHH kierownikiem pionu bezpieczeństwa. Blisko współpracował z Cristescu a politycznie, jako zwolennik PiS, związany był z Wąsikiem. Odszedł z PHH bo – jak mówił – nie chciał się zgodzić na inwigilację przeciwników politycznych PiS, którzy gościli w hotelach zarządzanych przez holding.

Jak twierdzi, Wąsik za wiedzą i zgodą Cristescu kazał mu zbierać informacje na temat Bartosza Kramka, współzałożyciela opozycyjnej wobec PiS Fundacji Otwartej Dialog. Chodziło o zakładanie podsłuchu w pokojach, przekazywanie danych z kart kredytowych, a nawet przeszukiwanie pokoju pod nieobecność Kramka. Działacza

traktowano tak jak osoby podejrzewane o terroryzm i przestępczość zorganizowaną.

Ziółkowski odmówił, a gdy odszedł z PHH, spotkał się z Kramkiem i u notariusza złożył oświadczenie o metodach, jakie stosowano wobec aktywisty.

W kwietniu 2023 r. aferę ujawniła „Wyborcza”. W tekście „Hotele na podsłuchu” pisaliśmy o inwigilacji Kramka, ale też o tym, że nie był to jedyny taki przypadek.

9 września 2020 r. Cristescu przekazał posłowi PiS Joachimowi Brudzińskiemu i informację o tym, że następnego dnia w hotelu Marriott przy warszawskim Okęciu (hotel jest w zarządzie PHH) odbędzie się spotkanie posłów PO z liderką białoruskiej opozycji Swiatłaną Cichanouską. Cristescu wysłał do Brudzińskiego maila dotyczącego szczegółów spotkania oraz tego, jaka ochrona będzie towarzyszyła uczestnikom. W mailu jest zdanie, że na spotkaniu będzie „lekarz sanitarny”. W nomenklaturze służb oznacza to, że na sali, gdzie miały się odbyć rozmowy, założony został podsłuch albo że wśród obsługi znajdują się agenci ABW.

„Czynności procesowe” wobec sygnalisty

Po naszej publikacji zarówno Kramek jak i posłowie PO, którzy brali udział w spotkaniu, złożyli zawiadomienie o przestępstwie. Proku-

ratura nic z tym nie zrobiła. Zaczęła za to ścigać Ziółkowskiego z zawiadomienia, które złożył Cristescu. W rezultacie sygnalista, który nawet wystąpił w Sejmie, dostał sądowy zakaz ujawniania informacji o tym, co robił w PHH.

Czwartkowe przeszukanie było kolejnym etapem jego problemów. Prokuratura zapewnia, że musiała przeprowadzić takie czynności: „śledztwo było wcześniej zawieszone i zostało podjęte (...) w związku z wpływem oczekiwanej analizy kryminalnej. W sprawie wykonywane są czynności procesowe zmierzające do zgromadzenia materiału dowodowego. W ramach tych czynności postanowieniem z dnia 22 stycznia 2024 roku zlecono przeszukiwanie pomieszczeń mieszkalnych zajmowanych przez R. Z. i zabezpieczenie sprzętu”.

W kolejnym wątku prokuratura chce wyjaśnić sprawę przekazania informacji o spotkaniu posłów PO z Cichanouską i ustalić, po co Cristescu powiadomił o tym spotkaniu Brudzińskiego

Co wyjaśni prokuratura

Wszczęte niedawno śledztwo warszawskiej prokuratury okręgowej dotyczy nie tylko zlecenia przez Macieja Wąsika inwigilacji Bartosza Kramka. W kolejnym wątku prokuratura chce też wyjaśnić sprawę przekazania informacji o spotkaniu posłów PO z Cichanouską i ustalić, po co Cristescu powiadomił o tym spotkaniu Brudzińskiego.

Szerzej na ten temat prokuratura pisze w zawiadomieniu skierowanym do posłanki Joanny Kluzik-Rostkowskiej (KO), która w 2023 r. też zaangażowała się w sprawę „afery hotelowej”. Włączyła ją do prac zespołu poselskiego, którym kierowała. Kluzik-Rostkowska też złożyła zawiadomienie. Skupiła się w nim na kwestii ujawnienia Brudzińskiemu przez Cristescu informacji o spotkaniu z Cichanouską. Teraz dostała z prokuratury informację, że „wszczęto śledztwo w sprawie dopuszczenia się (...) w hotelach Polskiego Holdingu Hotelowego (...) przez ustalonego prezesa ww. spółki, funkcjonariuszy ABW, ustalonego sekretarza stanu w MSWiA oraz bliżej nieokreślone osoby działających w postaci nielegalnego zlecenia lub zakładania i wykorzystywania urządzeń podsłuchowych (...) do inwigilacji członków polskiej oraz zagranicznej opozycji politycznej”. Z sygnatury sprawy wynika, że jest to to samo śledztwo, co w sprawie inwigilacji Bartosza Kramka. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34300784

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU

Zdrada – jest po niej życie

KATE WINSLET

Nie ma znaczenia, co myślą inni

RELACJE

Rozstania w związkach z długim stażem

PSYCHOLOGIA

Trzeźwość daje godność



PREZENT DO WYBORU

baza pod makijaż BIELENDĄ lub serum do pielęgnacji intymnej YOPE

Ekspertyzy TVP

Ministerstwo Kultury nie pokazało opinii prawnych w sprawie zmian w mediach publicznych, choć domagały się tego organizacje pozarządowe. Swoje ekspertyzy przedstawiła TVP.

Agnieszka Kublik

Opinii, na podstawie których Ministerstwo Kultury podjęło w grudniu decyzje w sprawie zmian w mediach publicznych, szukała Sieć Obywatelska Watchdog Polska.

Przypomnijmy: 19 grudnia 2023 r. Bartłomiej Sienkiewicz, szef resortu kultury – pomijając Radę Mediów Narodowych – jako walne zgromadzenie spółek medialnych wymieniał rady nadzorcze w TVP, Polskim Radiu i PAP. Nowe rady powołały nowe zarządy.

29 grudnia postawił te trzy spółki w stan likwidacji. To była reakcja na prezydenckie weto do ustawy o kołobudżetowej, w której zapisano, że media publiczne mogą dostać w papierach wartościowych do 3 mld zł jako rekompensatę z tytułu ulg abonamentowych. Takie dotacje wprowadził rząd PiS kilka lat temu, przed rokiem to było 2,7 mld zł. Bez tych pieniędzy te spółki byłyby bankrutami.

Działania wywołały sprzeciw PiS i prezydenta. Mówili o zamachu na media publiczne.

Do tej pory KRS odmówiły wpisania do ksiąg likwidacji TVP i Polskiego Radia. Wpisały PAP i 13 z 17 rozgłośni regionalnych. Do czasu prawomocnych wyroków sądów gospodarczych decyzje Sienkiewicza są legalne.

Helsińska Fundacja Praw Człowieka zapowiada skargę

Premier Donald Tusk przekonywał, że rząd działa zgodnie z prawem. – Dysponujemy opiniami najwyższych prawników, którzy nie mają żadnych wątpliwości, że działania ministra Sienkiewicza są zgodne z prawem i interesem publicznym – mówił pod koniec grudnia. Sam minister kultury też powoływał się na ekspertyzy prawników.

Watchdog Polska zapytała więc o te ekspertyzy kancelarię premiera, a ta posłała ich po te dokumenty do ministerstwa Sienkiewicza. Ministerstwo Kultury odpisało jednak, że opinie prawne nie stanowią informacji publicznych. Jednocześnie zaznaczyło, że dokumenty „nie zostały przez MKiDN utrwalone na nośniku”.

12 stycznia o te ekspertyzy pytała ministerstwo także Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Teraz zapowiada złożenie skargi na bezczynność organu do wojewódzkiego sądu administracyjnego.

Przesłaliśmy do Ministerstwa Kultury pytania, jacy prawnicy opiniowali przeprowadzenie zmian w mediach publicznych, bez względu na to, czy to były opinie utrwalone, czy nieutrwalone. Chcieliśmy też wiedzieć, kiedy te opinie powstały i jakie były ich konkluzje. Odpowiedzi nie dostaliśmy.

„Dwie przykładowe opinie”

W piątek wieczorem Daniel Gorgosz, likwidator TVP, opublikował na stronie internetowej TVP „dwie przykładowe opinie”, które są w dyspozycji spółki, na temat zgodności z obowiązującym prawem zarówno procesu zmian we władzach spół-

ki, jak i otwarcia likwidacji. – Spółka dysponuje szeregiem innych ekspertyz profesorskich w powyższym zakresie, które były przedkładane w postępowaniach sądowych związanych ze wskazanymi zmianami na różnych etapach – czytamy w tym komunikacie.

Pierwsza opinia powstała 21 grudnia 2023 r., sporządziło ją dwóch prawników: prof. Aleksander Kappes, kierownik Zakładu Prawa Handlowego w Katedrze Prawa Gospodarczego i Handlowego Uniwersytetu Łódzkiego, oraz prof. Tomasz Siemiątkowski, kierownik Katedry Prawa Gospodarczego SGH. Opinia dotyczy zmian z 19 grudnia dotyczących TVP. Wnioszek? – Zmiany wprowadzone w TVP przez ministra skarbu są zgodne z prawem i z konstytucją – orzekli profesorowie.

Ich rozumowanie sprowadza się do tego, iż: dlatego że Rada Mediów Narodowych jest ciałem wtórnie niekonstytucyjnym, to właściciel spółki, minister kultury, miał prawo dokonać zmian w TVP. Powołują się na wyrok Trybunału Konstytucyjnego z grudnia 2016 r., że odebranie KRRiT uprawnień do powoływania i odwoływania władz TVP jest niezgodne z konstytucją. Właśnie te uprawnienia PiS przekazał nowemu ciału – Radzie Mediów Narodowych.

Drugą opinię sporządziła prof. Katarzyna Bilewska z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego 5 stycznia 2024 r. Dotyczy legalności postawienia spółki TVP w stan likwidacji. – Minister kultury miał prawo postawić TVP w stan likwidacji – to wniosek z opinii prof. Bilewskiej. Prawniczka analizowała m.in. statut TVP, ustawę o radiofonii i telewizji, kodeks spółek handlowych i ustawę o KRS. W ekspertyzie zwraca uwagę, że decyzja Sienkiewicza o postawieniu spółki w stan likwidacji „wywołuje skutki prawne” do czasu prawomocnego unieważnienia uchwał o likwidacji. ●

Lewica idzie po wolny samorząd

– Lewica jest gotowa do wyborów samorządowych – ogłosił po spotkaniu rady krajowej współprzewodniczący partii Robert Biedroń. Po fiasku rozmów z Koalicją Obywatelską ugrupowanie idzie do nich samodzielnie.

Wybory samorządowe 7 kwietnia, a partie przygotowują się do kampanii. Strona demokratyczna będzie zabiegać o głosy w trzech blokach – Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi, czyli porozumienia wyborczego Polski 2050 i PSL, i Lewicy. Robert Biedroń mówił, że Lewica startuje z konkretnym przesłaniem: by samorząd na każdym szczeblu był wolny i niezależny od nacisków politycznych.

– Lewica jest gotowa do startu w szerokiej koalicji. Do komitetu zapraszamy siły lewicowe i postępowe, organizacje kobiece, ekologiczne, reprezentujące mniejszości, ruchy miejskie. I wszystkich ludzi dobrej woli, którzy chcą się w tych wyborach policyzować – ogłaszał.

Przypomniawszy dotychczasowy stan posiadania, że Lewica współrządzi w jedenastu miastach, ma radnych na każdym z samorządowych szczebli. Podkreślał, że ambicje są dużo większe, zaś gra idzie o to, jak będą wyglądały małe ojczyzny. Czy unijne fundusze będą dzielone sprawiedliwie, czy tak, jak to się działo za PiS – za pomocą legitymacji partyjnej. – Legitymacji, która decydowała, kto dostanie pieniądze – komentował.

Dobry standard usług publicznych

Rzucił też kilka hasel, wokół których Lewica zamierza budować kampanię. Było więc o dobrym standardzie usług publicznych, dostępnej ochronie zdrowia i dobrej szkole.

Przypomniał, że po ośmiu latach rządów PiS ok. 14 mln ludzi jest pozbawionych transportu publicznego. Było więc o autobusie w każdej gminie i kolei w każdym powiecie.

Z podobnymi deklaracjami Lewica szła do jesiennych wyborów parlamentarnych. – Prosimy o głosy – apelował Biedroń. – Tak, jak 15 października, kiedy pomogliście odrzucić złą władzę, byście jeszcze raz nam zaufali. Jesteśmy przygotowani do boju, mamy najlepsze listy – zapewniał. Deklarował, że Lewica jest gotowa do rozmów i szerokich koalicji „wszędzie tam, gdzie jest pole do współpracy” ze stroną demokratyczną. – Chcielibyśmy, by po tych wyborach w świat poszedł sygnał, że po wolnych mediach, wolnych sądach nareszcie mamy wolne samorządy – podkreślał. Przedstawił też szefa sztabu, którym rada krajowa zrobiła posła Arkadiusza Sikorę.

Okroić wpływ PiS

Szef lewicowego sztabu mówił, że po wyborach 15 października strona demokratyczna przechodzi do drugiej połowy meczu. A celem jest okrojenie wpływów PiS w samorządach. – Aby nie doprowadzić do dalszego ich niszczenia na poziomie sejmików województw. Przecież PiS nadal częścią z nich rządzi bądź współrządzi – mówił poseł. Podkreślał, że bez Lewicy demokratom nie uda się powiększyć wpływów w samorządach województw.

– Wzywamy wójtów, burmistrzów, prezydentów i wszystkich tych, którzy stali po stronie demokratycznej, by wspólnie te wybory wygrać i budować koalicję na wzór tej z 15 października. Teraz to będą koalicje 7 kwietnia – mówił poseł Sikora. ●

Iwona Szpala

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34295009

*Z miłości
do czytania...*



Zamów na walentynki
KARTĘ PODARUNKOWĄ Wyborcza.pl

Wyborcza.pl/karta

wyborcza.pl

Lektura na cały ROK za

199 zł
~~432 zł~~

47

MLD DOLARÓW
• Tyle ma być
wart rynek spor-
towych zakładów
bukmacherskich
w Europie w 2024
roku – wynika
z analizy Pol-
skiego Instytutu
Ekonomicznego

Powiaty z największą liczbą dojeżdżających do pracy w innej gminie

Dane w tys.

poznański	109 875
wotomiński	69 138
krakowski	68 986
m.st. Warszawa	56 045
piaseczyński	50 811

© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: GUS/ NARODOWY SPIS POWSZECHNY 2021



W najbliższych latach na transformację energetyczną Polska może wydać ponad 500 mld zł

PAULINA HENNIG-KŁOSKA
ministra klimatu

Blokada pociągów Newagu

Ryccerze cyberbezpieczeństwa



„Wchodzę do kabiny, uruchamiam dopiero co odkrytą procedurę odblokowywania. Na 43 minuty przed zerwaniem umowy pociąg rusza”. Hakerzy z grupy Dragon Sector przez dwa miesiące starali się odkryć sekret blokad pociągów Impuls Newagu. Udało im się ostatniego dnia. To historia jak ze scenariusza, o którym powiedziano by, że jest zbyt naciągany.

ROZMOWA Z
MICHAŁEM „REDFORDEM” KOWALCZYKIEM, SERGIUSZEM „Q3K” BAZAŃSKIM I KUBĄ STĘPNIEWICZEM

BOLESŁAW BRECZKO: Kiedy po raz pierwszy usłyszeliście o problemach z pociągami Newagu?
MICHAŁ „REDFORD” KOWALCZYK: Jakoś w połowie 2022 roku.
SERGIUSZ „Q3K” BAZAŃSKI: SPS* wysłał maila na ogólnie dostępną skrzynkę pocztową Dragon Sectora, na którą ogólnie trafiają bardzo różne zapy-

tania. Większość z nich to prośby, żeby włamać się na Instagrama bylej dziewczyny i podobne, czego oczywiście nie robimy. Jak się wpisze w Google’a „polscy hackerzy”, to wysoko wyskakują informacje o nas, bo gramy na zawodach CTF-owych.

Podobno SPS też znalazł was, wpisując w Google’a „polscy hackerzy”.
REDFORD: Tak, powiedzieli nam potem, że tak nas właśnie znaleźli. Byli już wtedy trochę zdesperowani, bo za nic nie mogli uruchomić pociągów.

I jak wyglądało zapytanie od nich?

Q3K: Parafrazując, to było coś w stylu: „Hej, takie głupie pytanie, mam tutaj pociąg, który nie chce ruszyć. Może chcielibyście zerknąć?”. To był jeden z tych maili, na który patrzysz i nie wiesz, czy to scam, czy ktoś robi sobie jaja. Potem Redford wrzucił go na nasz czat, że „hehe, ale śmiesznie, pociąg”. Ale im dłużej patrzyliśmy na to, tym bardziej skłaniał się, żeby zerknąć, bo brzmiało ciekawie.

KUBA STĘPNIEWICZ: Ja wtedy jeszcze nie byłem zaangażowany mocno w Dragon Sector. Pewnego wiosennego popołudnia siedzimy sobie z kolegą z Dragon Sectora, spożywając piwko na Rodzinnym (kolejowym) Ogródku

Jak to było z blokadami pociągów Newagu

• W 2022 roku firma Serwis Pojazdów Szynowych (SPS) z Inowrocławia skontaktowała się z zespołem Dragon Sector z prośbą o wsparcie. Pociągi Impuls produkowane przez Newag z Nowego Sącza, które serwisowała dla Kolei Dołnośląskich, nie chciały ruszyć.

• Trzech członków Dragon Sectora podjęło się wyzwania. W trakcie analizy kodu oprogramowania sterującego znaleźli blokadę, które unieruchamiały pociągi w różnych sytuacjach. Najpopularniejsza blokada uruchamiała się, gdy pociąg przez 10 dni (później przez 21) nie przekraczał prędkości 60 km/h, czyli np. stał w serwisie. Po odkryciu blokad hackerzy odkryli też kod, który je obchodził, czym odblokowali pociągi Kolei Dołnośląskich i innych.

• Hakerzy są pewni, że blokadę umieścił tam producent pociągów. Ten zaprzecza i twierdzi, że sam padł ofiarą hackerów. Ministerstwo Cyfryzacji podało, że zespół CSIRT NASK – który jest odpowiedzialny za reagowanie na incydenty bezpieczeństwa stwarzające ryzyko na poziomie krajowym – ocenił raporty Dragon Sector jako wiarygodne.

• W komentarzach pojawiają się sugestie, że producent – Newag – dąży do zapewnienia sobie monopolu na serwisowanie pociągów. W styczniu na posiedzeniu sejmowego zespołu do spraw wykluczenia transportowego, gdy Newag unikał konkretnych odpowiedzi na pytania, skąd wzięły się blokadę, przedstawiciel przewoźnika Polregio, Wiesław Szafranski, stwierdził wprost, że Newag chce jedynie pokazać, iż „nikt poza nim nie jest wystarczająco kompetentny do serwisowania pociągów”.

► **W sprawie blokad pociągów Newagu trwa śledztwo** FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

➤ Działkowym. W pewnym momencie pyta mnie: „Kuba, bo ty robiłeś różne dziwne rzeczy w życiu. Hakowałeś kiedyś pociąg?”. „Nie”. „A chcesz?”. „No pewnie”.

Q3K: No i Kuba dołączył do nas najpierw trochę w roli gościa, a teraz jest naszym naczelnym mikolem.

Mikolem?

Q3K: Mikolem – miłośnikiem kolei. Taki człowiek, który stoi przy torach i robi zdjęcia pociągom albo podbija do maszynisty, żeby przy odjeździe zagwizdał.

KUBA: Do aż takiego fanatyzmu nigdy nie dotarłem, ale jak w 2013 roku był pierwszy publiczny przejazd impulsem 3IWE-001 z Wrocławia do Legnicy, to wcisnąłem się między dziennikarzy. To był najbardziej mikolski epizod w moim życiu.

OK, to rozumiem udział Kubę w projekcie, a Michał, Sergiusz, skąd wy się tam wzięliście, bo Dragon Sector to nie tylko wy, ale też kilkanaście osób?

REDFORD: Tak wyszło, że byliśmy tym projektem najbardziej zainteresowani, pewnie dlatego, że zajmujemy się głównie inżynierią wsteczną. To proces, w którym bierze się skończony produkt i rozkłada na części, żeby sprawdzić, jak działa i jak został zbudowany. To taka odwrotność tego, co się robi z meblami z Ikea.

Q3K: A moje tło to robienie dziwnych rzeczy związanych ze sprzętem, więc naturalnie mnie to przyciągnęło.

Czyli ciekawość wystarczyła, żebyście podjęli się hakowania pociągów. Jak to wyglądało?

REDFORD: Wtedy jeszcze nie byliśmy pewni, o co chodzi, więc umówiliśmy się na calla, gdzie SPS nam wszystko wyjaśnił.

Q3K: Oni sami nie byli pewni, czy tam faktycznie jest ta blokada, ale podejrzewali, że coś takiego może być. Musieliśmy się upewnić, że nie ma tam żadnej krzywej akcji, czy SPS czegoś nie kombinuje. Na początku, jak to przeczytałem, to osobiście wierzyłem Newagowi, bo to duża polska firma i kto by się tam bawił w takie rzeczy? Była szansa, że SPS po prostu coś źle zrobił w przeglądach i przez to zablokował pociągi. Była też obawa, że będą próbowali nas jakoś podpuścić i potem oskarżyć, więc od początku byliśmy bardzo ostrożni.

Alé im więcej rozmawialiśmy z SPS, tym bardziej im ufaliśmy. Było widać, że nie zmyślają, a cała ta historia wydaje się coraz bardziej wiarygodna.

OK, czyli upewniliście się, że wszystko jest legalne, i wzięliście się do roboty. Jak to wyglądało? Siedzieliście z laptopami podpiętymi do pociągów?

KUBA: Chłopaki mieszkają poza Polską, więc byłem jakby łącznikiem tutaj na miejscu. Mieszkam też „blisko” – jest bezpośrednie połączenie kolejowe z Wrocławia do Inowrocławia, to tylko 3 godziny podróży – jedna na każdą literkę różnicy w nazwach miast. Pojechałem do nich, dostałem trochę sprzętu, w tym dwa zapasowe komputery, na których mogliśmy pracować, i zabrałem je do domu. (W tym momencie Kuba podnosi z biurka i pokazuje pociągowy komputer w formie metalowego pudełka z otworami na kable).

Jak zostałeś odebrany przez pracowników SPS?

KUBA: Chyba nieźle, bo jak zapytali mnie, ile lat zajmujemy się sprawami takimi jak tutaj, to odpowiedziałem, że to będzie już moja szósta godzina... Ale komputer – nawet z pociągu – to jednak komputer, a ten w dodatku jest dość stary i nie ma praktycznie żadnych zabezpieczeń.

REDFORD: Sam komputer nie był problemem, problemem była inżynieria wsteczna. I to nawet nie dlatego, że kod był mocno skomplikowany, tylko dlatego, że dla nas to było po prostu egzotyczne, bo nigdy wcześniej nie mieliśmy z czymś takim do czynienia.



• **Sergiusz „q3k” Bazański, Jakub Stępniewicz, Michał „Redford” Kowalczyk (od lewej) podczas prezentacji z hakowania pociągów na konferencji 37C3** FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ile czasu zajęła wam analiza kodu?

REDFORD: Łącznie to były jakieś dwa miesiące siedzenia po pracy, w nocy i weekendami. Głównie ja się tym zajmowałem. To trochę jak rozplątywanie lampek choinkowych albo układanie puzzli, gdy nie wiesz, jak wygląda obraz, który układasz.

Kiedy w trakcie tego procesu wpadliście na trop blokad?

Q3K: Praktycznie do samego końca nie było wiadomo.

REDFORD: Wszystko zaczęło się układać jakoś dzień przed deadline.

KUBA: W czwartek zadzwonił Łukasz z SPS, że w środę upływa termin. W niedzielę zaczęliśmy próbować nowych pomysłów, ale początkowo dalej nic nie wychodziło.

REDFORD: Przełom był bliski, ale kod odpowiedzialny za blokady znaleźliśmy dopiero we wtorek w nocy. Wtedy wszystko zaczęło wskakiwać na swoje miejsca. Znaleźliśmy koordynaty GPS, blokadę na postój, a niedługo potem i tajne kody odblokowywania pociągów z kabiny.

Jaka była wasza reakcja na to? Bo do tej pory mieliście tylko przypuszczenia SPS, że w oprogramowaniu są blokady unieruchamiające pociąg.

REDFORD: Wtedy testowaliśmy to tylko na komputerze, który stał u Kubę na biurku. Tej samej nocy Kuba pojechał do warsztatu w Inowrocławiu, a ja siedziałem i analizowałem dalej. I jeszcze zanim Kuba dojechał, znalazłem te koordynaty GPS i wtedy to już na 100 procent wiedziałem, że to są celowe działania blokujące konkurencję.

KUBA: Sam moment odblokowania pociągów był jak z filmu. Wieczór przed zerwaniem umowy Kolei Dolnośląskich z SPS, co prawdopodobnie doprowadziło do bankructwa warsztatu, znajdujemy blokadę. Kupuję bilet na pociąg do Inowrocławia na trzecią nad ranem. Bez gwarancji miejsc siedzących. Trudno, nie muszę siedzieć, ważne, żebym był w Inowrocławiu o szóstej rano.

Biorę pod pachę komputer z pociągu, pod drugą laptopa i idę na stację. To był

sierpień, środek wakacji. Na stacji patrzę, że ten mój pociąg to jedzie nad morze, do Mielna i cały jest bez rezerwacji. Nie była to przyjemna podróż. Pociąg jeszcze miał awarię i nie zdążyłem na przesiadkę w Poznaniu. W końcu dojechałem do tego Inowrocławia. Tam czeka na mnie już pracownik warsztatu z samochodem i mówi:– Za godzinę przyjeżdżają Koleje Dolnośląskie zrywać umowę.

Dojeżdżamy do warsztatu. „Wyciągamy pociąg w tory, sprawdzimy, czy ruszy” – mówi pracownik. Wchodzę do kabiny, uruchamiam dopiero co odkrytą procedurę odblokowywania. Na 43 minuty przed przyjazdem Kolei Dolnośląskich i zerwaniem umowy pociąg rusza.

Jaka była reakcja pracowników, którzy wtedy z tobą byli? Szczętki zbierali z podłogi?

KUBA: Komuś wymsknęło się „o cię k****”. Przede wszystkim ogromna ulga, bo udało się uratować zakład przed zerwaniem kontraktu, nad którym pracowali przez ostatnie pół roku, i jeszcze dodatkowymi karami, które szły w miliony. To mogłoby nawet skończyć się bankructwem SPS.

Ale to wcale nie koniec waszej przygody z pociągami Newagu. Potem były kolejne blokady. Zgłaszali się do was inni użytkownicy z tymi samymi problemami. Niektóre pociągi jechały na serwis do Newagu.

REDFORD: Jedną z ciekawszych dla mnie rzeczy jest późniejsze działanie Newagu, który już wtedy wiedział, że znaleźliśmy blokady. Zamiast np. wyczyścić całkiem pociąg i udawać, że nic nigdy nie było, to zaczął z nami walczyć i utrudniać odblokowywanie. Po jednej aktualizacji usunęli z kabiny kod do odblokowywania pociągów. Przy czym nie usunęli go całkowicie, tylko odpięli go od konsoli w kabinie. Nadal można go użyć, jak powie się komputerowi, że został wpisany. W ten sposób odblokowywaliśmy kolejne pociągi.

Jaka była wasza reakcja na to, co znaleźliście?

REDFORD: W wielu momentach wątpiłem w siebie, że może coś źle przeanalizowałem. Zwłaszcza jak w środku nocy znalazłem tego GPS, to wydawało mi się niemożliwe, żeby tak absurdalnie można było wpisać w kodzie koordynaty zakładów konkurencji. Przecież tego już w żaden sposób nie da się usprawielić. Napisałem wtedy do Kubę i Sergiusza (q3k), żeby sami sprawdzili, bo ja chyba coś źle robię.

Q3K: Atmosfera, która wtedy panowała, to było pomieszanie niedowierzania z absurdem, pytaliśmy: „Co oni odwalili?”. Z projektu kierowanego ciekawością wyszła nagle afera, o której już wtedy wiedzieliśmy, że będzie gruba, jak wyjdzie na jaw.

Newag tłumaczy, że oni nie dodawali żadnych blokad i sami są ofiarami działania hakerów, w domyśle was.

Q3K: Czytaliśmy i słyszeliśmy wszystkie ich wyjaśnienia i oni bardzo sprawnie formułują je w ten sposób, żeby technicznie mówić prawdę, ale praktycznie nie przyznawać się do tego, że to oni umieścili te blokady. Mówią np., że „nie dodali żadnej funkcjonalności wywołującej usterki”, ale z punktu widzenia Newagu to jest celowa funkcjonalność, nie usterka. Mówią też np., że nie stosują „postarzania produktu”, ale tutaj też nie o to chodzi.

REDFORD: Nie ma możliwości, żeby to nie wyszło od nich. Robiliśmy eksperymenty, że jak pociąg jechał do Newagu na serwis, to zgrywaliśmy kod przed wyjazdem i po powrocie, i potem porównywaliśmy. I okazywało się, że w serwisie aktualizowano kod bez wiedzy właścicieli pojazdów. W tych aktualizacjach wydłużono np. warunki jednej z blokad, która zalać się po tym, jak pociąg przez 10 dni nie osiągnął prędkości powyżej 60 km/h, czyli de facto stał w serwisie. Potem ten okres wydłużono do 21 dni. Nie ma innego wytłumaczenia, chociaż początkowo sam w to nie wierzyłem, ale siedziałem nocami i sprawdzałem wszystko po 10 razy.

Teraz tworzymy pełny raport po angielsku, który chcemy opublikować i pokazać dokładnie krok po kroku naszą analizę, żeby każdy mógł to zreplikować i zweryfikować.

Moim zdaniem Newag już przyznał się do tego, że to on umieścił te blokady. W momencie, gdy chcieli nam utrudnić pracę, a pociągi przyjeżdżały do nich na serwis, dodali powiadomienie, które wyskakiwało na ekranie w kabinie pociągu, z ostrzeżeniem o naruszaniu praw autorskich. To ostrzeżenie było bezpośrednio skierowane do nas. Ale to powiadomienie nie wyskakiwało zawsze, jak pociąg się włączał, tylko wtedy, gdy spełnione były identyczne warunki jak te do uruchomienia blokady, a mimo to pociąg jechał. Czyli ten, kto dodał to powiadomienie, musiał być świadom istnienia blokad i znać sposób ich działania.

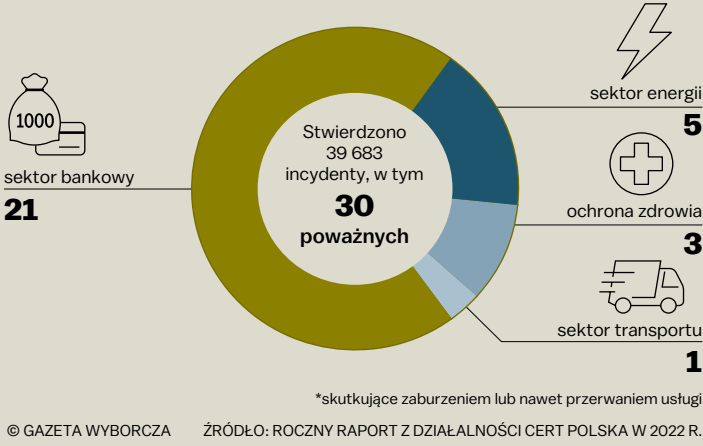
Jeśli dobrze rozumiem, to w tych wszystkich pociągach, które udało

Atmosfera, która wtedy panowała, to było pomieszanie niedowierzania z absurdem, pytaliśmy: „Co oni odwalili?”. Z projektu kierowanego ciekawością wyszła nagle afera

Q3K Z DRAGON SECTOR



Incydenty w obszarze cyberbezpieczeństwa Polski w 2022 r. zakwalifikowane jako poważne*



Co was w tej całej sprawie najbardziej zaskoczyło?

REDFORD: Na pewno to, że ktoś w Newagu w ogóle wpadł na ten pomysł. Także to, że te blokady nie były w żaden sposób ukryte, jakby nie spodziewali się, że ktośkolwiek wpadnie na pomysł, żeby sprawdzić, co znajduje się w kodzie.

Q3K: Mnie zaskoczyło, jak to było technicznie proste. Było żmudne, bo zajęło dwa miesiące, ale nie było skomplikowane. W porównaniu z tym, co robiliśmy wcześniej, to ta sprawa była dość prosta. Dużo prostsza niż to, co przeciętnie robimy na zawodach CTF.

Było proste dla was. Obstawiam, że w Polsce może nie być drugiej takiej ekipy o takim zestawie umiejętności. Może oprócz autora tej blokady.

REDFORD: Jestem na 99 procent pewien, że osoba, która zaimplementowała te blokady, nie umiałaby ich odnaleźć. Programowanie i inżynieria wsteczna to dwie bardzo różne dziedziny.

Odblokowaliście pociągi Kolei Dolnośląskich, a potem jeszcze inne, jak poszła plotka, że w SPS potrafią odblokować impulsy, a potem zgłosiliście to do służb.

REDFORD: Najpierw zgłoszenie poszło do UOKiK, gdzie przez dwa miesiące nic się nie działo. Potem do NASK, CBA i ABW, i jeszcze było spotkanie w KPRM w ramach kolegium ds. cyberbezpieczeństwa.

A potem przyszedł grudzień 2023 roku i powiedzieliście o sprawie publicznie na konferencji Oh My Hack.

Q3K: Ludzie nam zarzucali, że specjalnie czekaliśmy z tym po wyborach, ale praw-

da jest taka, że inne, wcześniejsze konferencje po prostu nas odrzucały.

Czy to wpłynęło jakoś na wasze życie? Boicie się np. pozwów ze strony Newagu?

Q3K: Ja się boję, że 6 grudnia 2024 roku będę musiał wyprawić urodziny zapowiedziom pozwu, bo jeszcze go nie dostałem. A tak na poważnie, to nie boję się, bo jestem pewien, że wszystko dobrze zrobiliśmy.

REDFORD: Chciałbym, żeby nas pozwali za prawa autorskie, bo wtedy musieliby się przyznać, że to oni są autorami kodu i blokad.

A czy po tej sprawie zwiększyło się zainteresowanie waszymi usługami?

REDFORD: Dostajemy więcej maili na oficjalną skrzynkę, ale nie mamy ani czasu, ani siły odpisywać. Piszą do nas ludzie i firmy z prośbami np. o analizę ich kodu albo zabezpieczeń. Od tego są normalne firmy i lepiej, żeby one to robiły. My bierzemy tylko takie rzeczy, których nikt inny nie robi.

Podjęlibyście się pracy dla służb? Na przykład dla ABW?

REDFORD: Nie mieliśmy do tej pory takiego pytania, ale myślę, że w ABW mają kumatych ludzi i nie potrzebują naszej pomocy.

A czy sprawa była dla was opłacalna finansowo? Przedstawiciel Newagu mówił, że mogliście wziąć za to nawet 2,3 mln zł.

REDFORD: Widziałem te ich wylężenia i gratuluję wyobraźni. Wiedzieli, że coś dzwoni, ale pomylili kościoły. Znaleźli nawet prawdziwą wycenę [75 tys. zł] i pomnożyli to przez 30 pociągów, które analizowaliśmy. Tylko że to, co znaleźli, to była cena za odblokowanie oraz sporządzenie obszernego raportu, który robiliśmy dla części z użytkowników, ale nie dla każdego pociągu osobno. Na przykład Koleje Dolnośląskie miały 11 pociągów, a dostały jeden raport. No i warto też zaznaczyć, że odblokowaliśmy znacznie mniej pociągów niż te 30, ponieważ 6 z nich nie miało blokad, a kolejnych kilku nie dało się odblokować bez modyfikacji kodu, czego się nie podjęliśmy.

Dostaliśmy kilkukrotnie mniej niż te wymyślone 2,3 mln zł, w dodatku do podziału na trzy osoby po półtora roku pracy. Wiem, że Newag idzie w narrację, że zarobiliśmy na tym jakąś grubą

kasę, ale tak naprawdę to zrobiliśmy to bardziej z ciekawości i poniżej naszych normalnych stawek. Ale nawet jakby to było 2,3 mln zł, to po przeliczeniu na roboczogodzinę wydaje mi się, że każdy z nas zarabia więcej u siebie na etacie.

Na etacie? Myślałem, że jesteście hackerami.

KUBA: Hackerami jesteśmy na zawodach CTF. Ja np. pracuję w małej szwajcarskiej firmie, która robi systemy antykolizyjne do samolotów. Jestem jednym z pięciu pracowników, a w powietrzu jest teraz 80 tys. naszych urządzeń.

REDFORD: Ja większość czasu pracuję dla Invisible Things Lab, gdzie analizuje i piszę kod niskopoziomowy. Dodatkowo prowadzę zajęcia z bezpieczeństwa na UW.

Q3K: A ja tworzę systemy rozproszone dla centrów danych.

Czyli nie przesiadujecie nocami w piwnicach i magazynach z kapturami na głowach i nie włamujecie się do systemów bankowych? Większość ludzi ma właśnie takie wyobrażenie o hackerach.

Q3K: Zajmujemy się bezpieczeństwem w formie audytów. Zresztą haking to dużo szersze pojęcie. Na przykład teraz na biurku mam rozgrzebaną kontroler i na podstawie tego, ile pobiera prądu, próbuję wyciągnąć z niego sekrety. To też jest haking, nie tylko włamywanie się do systemów.

REDFORD: Do nas pasuje bardziej określenie haker jako taki majsterkowicz, który chce sprawdzić, jak coś działa i jak można to zmienić, żeby działało inaczej.

KUBA: Większość moich hakerskich działań sprowadza się do tego, że jak moja pralka skończy prac, to robi „biip, biip”, a ja chciałbym wiedzieć, jak to wyłączyć, albo żeby robiła tylko „bip”. Nie da się tego niestety wyłączyć i trzeba grzebać w kodzie i procesorach.

A nie kusilo was, żeby swoje umiejętności wykorzystać do działań typowo hakerskich? Przestępczych?

REDFORD: Nie, bo oprócz tego, że lubimy to robić, to jeszcze lubimy o tym informować i rozmawiać z innymi, dlatego też zależało nam na nagłośnieniu sprawy z pociągami.

KUBA: Jest jeszcze kwestia tego, że jesteśmy skrajnie leniwi i jak mielibyśmy za każdym razem, idąc do domu, wracać inną ścieżką i oglądać się za siebie, to ta przygoda byłaby raczej krótka. ●

REKLAMA

Kraj/34297649

Sukces wieńczy dzieło?

Poznaj inspirujące historie finalistów konkursu
EY Przedsiębiorca Roku 2023

przedsiębiorcaroku.pl

**EY Entrepreneur
Of The Year™**

Przedsiębiorca Roku

EY

Building a better
working world

The better the question. The better the answer. The better the world works.

Właściciel projektu

Partnerzy konkursu

Partner Gali



Dobra zabawa

„Ani nie pracuję, ani nie jestem dobrym rodzicem” – od tej myśli zaczęło się Smart Kids Planet, pierwsze w Polsce Centrum Mądrej Zabawy dla dzieci.

ROZMOWA Z
KAROLEM GAWŁEM I ADAMEM KOWALCZYKIEM
założycielami Smart Kids Planet, pierwszego w Polsce centrum działającego w duchu edutainment – edukacji przez rozrywkę

PIOTR MIĄCZYŃSKI: Pandemia to było dla panów co?
KAROL GAWŁ: Tragedia, która przerodziła się w sukces.
ADAM KOWALCZYK: Pewna szkoła życia – ja bym chyba tak to nazwał.

Stworzyście swoją pierwszą firmę tuż przed pandemią na Stadionie Narodowym. Co się wydarzyło?
ADAM: Minęły już ponad trzy lata i niechętnie wracamy do tego myślimy. Otworzyliśmy Centrum na PGE Narodowym w 2019 roku. Po pięciu i pół miesiąca świętowaliśmy już 100 tysięcy gości. Okazało się, że idealnie wstrzeliliśmy się w niszę, którą zdefiniowaliśmy sobie przed otwarciem. Smart Kids Planet to był pierwszy na rynku koncept wypełniający lukę między salami zabaw a centrami nauki. To zagrało.

Aż nadszedł pierwszy lockdown.
KAROL: To jeszcze przekuliśmy w sukces. Słuchaliśmy wtedy w styczniu, na początku lutego wiadomości z Włoch. I spodziewaliśmy się, że dojdzie do podobnego rozwoju wypadków w Polsce. Rozumieliśmy też powagę sytuacji dla



• Adam Kowalczyk i Karol Gawł w konkursie EY Przedsiębiorca Roku nominowani są w kategorii Nowy Biznes FOT. DAMIAN BARTOSZEK/E&Y

naszego biznesu. Z początkiem lutego kupiliśmy więc podstawowy sprzęt do realizacji filmów do kanałów online'owych. I kiedy 12 marca nastąpiło zamknięcie szkół i przedszkoli, to my 13 marca już realizowaliśmy pierwsze edukacyjne nagrania dla dzieci. Bezplatnie, w naszych mediach społecznościowych. Pomysł sprawdził się na tyle, że skontaktowała się z nami telewizja, dla której właśnie w pierwszej fali pandemii zrealizowaliśmy dwa programy: „Magia nauki” i „Mądre zabawy”. Wcześniej nie mieliśmy totalnie doświadczenia w branży filmowej, produkcyjnej. „Mądre zabawy” de facto trafiły na top 3 oglądalności tego kanału. Później była lekka odwilż przez lato. Działaliśmy, mieliśmy półkolonie, odwiedzały nas – jak na tamten czas – tłumy. I to pomimo maseczek.

Przychodzi październik 2020 roku.
ADAM: Druga fala lockdownu w całej Polsce i początek naszego życiowego i biznesowego horroru. Chyba następnego dnia czy dwa dni później dowiedzieliśmy się, że nie możemy korzystać z naszego lokalu ze względu na decyzję o budowie szpitala tymczasowego w przestrzeniach PGE Narodowego. Lockdownu się spodziewaliśmy. Szpitala – zdecydowanie nie.

I jak odnaleźliście się w nowej rzeczywistości?
ADAM: Nie wiedzieliśmy wtedy, czy wrócimy za trzy miesiące, czy za sześć i jak rozwinie się sytuacja. Musieliśmy się przeorientować, aby utrzymać zespół i firmę do czasu ponownego otwarcia. Wymyśliliśmy plan C: smartboxa, czyli paczki kreatywne. Bo jak już nas zamknęli, postanowiliśmy zmienić profil z klienta indywidualnego na firmy. Smartboxów powstało 7 tysięcy, rozjechały się na cztery kontynenty, bo tam korporacje miały swoje oddziały i swoich pracowników.
KAROL: Walka, żeby wrócić, trwała dwa lata. Po roku wiedzieliśmy, że to się uda. Że poskładamy wszystkie puzzle, także finansowe. Finalnie udało nam się w 2022 roku, w październiku, otworzyć nowe Centrum w Fabryce Norblina.

Jak to się w ogóle zaczęło? Panowie pracowali w jednej firmie

eventowej i co takiego sprawiło, że nagle dwóch facetów bierze i wymyśla projekt dla dzieci? Każdy rodzic powie, że place zabaw to piekło na ziemi.
ADAM: To jest dokładnie powód, który nas pchnął w tę stronę. Miałem wyrzuty sumienia. Byłem w zarządzie agencji eventowej. Eventy są strasznie energo...
KAROL: ...chlonne. Wysysają po prostu energię.
ADAM: Byłem już wypalony. Chodziłem z moim Leoshkiem do sal zabaw, żeby jeszcze gdzieś tam popracować. On biegał. Ja smętnie patrzyłem na niego, uderzałem w klawiaturę laptopa i czułem, że to koniec – dla niego kompletnie bezwartościowa zabawa, a ja ani nie pracuję, ani nie jestem dobrym rodzicem. Przecież musi być coś innego.

Znali się panowie na tym?
ADAM: W ogóle się na tym nie znaliśmy, ale zbudowaliśmy dobry zespół.

A kapitał?
ADAM: Bardzo rzetelnie podeszliśmy do biznesplanu i modelu finansowego. Plus cała marketingowa część: kto jest naszym klientem, jakie są jego potrzeby, jaki jest rodzaj rodziców.

I co?
KAROL: Pochodziliśmy po mieście z tym pomysłem wśród potencjalnych inwestorów. To był nasz pierwszy projekt startupowy w pełnym tego słowa znaczeniu i nie wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać.

Ale znaleźliście inwestorów?
KAROL: Znaleźliśmy i przekonaliśmy. Udało się dosyć szybko.

Inwestorzy mają dzieci?
KAROL: Tak, tak, tak. To w ogóle jest...
ADAM: ...klucz do tego tematu – trzeba mieć dzieci. W sumie pozyskaliśmy 4 miliony złotych od inwestorów prywatnych.

Nie żalowali?
ADAM: Chyba nie. Aktualnie nasi inwestorzy są jednocześnie naszymi udziałowcami.

Jak takie centrum wygląda?
KAROL: Pierwsza koncepcja była taka, że centrum musi być superinteraktywne, multimedialne, osadzone w nowych czasach.

Ale coraz bardziej weryfikowaliśmy temat, patrząc, co fajnego w tej branży się dzieje na świecie. Podglądaliśmy różne centra nauki i już wiedzieliśmy, że to musi być edukacyjne. Okazało się, że ekspozycje powinny angażować dziecko tu i teraz, z wykorzystaniem fizycznych elementów, a nie głównie z technologii.

I dzisiaj 85 proc. naszego centrum jest oparte na, powiedzmy, tradycyjnej zabawie, a 15 proc. to wykorzystanie multimediiów.
ADAM: Zdefiniowaliśmy sobie, że chodzi nam nie o zwykłą technologię, tylko o to, aby połączyć świat tradycyjny z nowoczesnym. Na dalszym etapie koncepcyjnym zdaliśmy sobie sprawę, że tak naprawdę to, jakie projektujemy atrakcje, wpisuje się idealnie w trend rozwoju kompetencji przyszłości. I tym dokładnie jesteśmy: przez mądrą zabawę do rozwoju kompetencji przyszłości.

Np. dzieci kolorują prawdziwe kolorowanki z samochodem, rakieta czy balonem. Później to, co narysowały, jest skanowane. Przetwarzamy te kolorowanki w czasie rzeczywistym w obiekt 3D. On się pojawia na wielkim ekranie. Dzieci mogą go dotknąć, obrócić itd.

A panów dzieci jako testerzy występowały?
ADAM: No jasne.

Coś się zmieniło pod wpływem ich sugestii?
ADAM: Kiedy budowaliśmy pierwsze centrum, to mój synek bywał tam dość regularnie. I zawsze musieliśmy mu coś z folii rozpakowywać, żeby się pobawił. Ale tak na poziomie samej koncepcji dziecku jest trudno coś ocenić. Zanim nie wejdzie, nie dotknie, nie przekreśli.

Albo jest nudno, albo nie jest nudno?
ADAM: Właśnie tak. Dziecko nie bazuje na zdjęciach, slajdach, projektach, tylko na tym, czego już doświadczyło. „A zjeżdżalnia będzie?”.

I jest?
KAROL: Jest, bo ruch też pełni istotną funkcję w rozwoju dziecka. Ale jest taka, jakiej nigdzie indziej nie znajdziecie – w rakiocie.

Co będzie dalej?
ADAM: Każda firma ma swoją wizję. Nasza jest taka, żeby rodzic, myśląc o mądrej zabawie dla swojego dziecka, myślał o Smart Kids Planet. Przed nami nowe Centra Mądrej Zabawy w Polsce, rozwój marki sklepowej Smart Kids Store, ale docelowo nie będziemy tylko Centrum Mądrej Zabawy. Budujemy markę parasolową – pomysły przekuwamy w realne projekty. Do sprzedaży trafiła nasza pierwsza edukacyjna książeczka dla dzieci do lat trzech. Na Spotify, na YouTube są nasze darmowe audiobooki: „Przygody Smartusia”. Już w tym roku planujemy otwarcie kolejnego centrum na południu Polski, a w 2025 roku otwarcie trzeciej placówki – mamy do dyspozycji co najmniej trzy lokalizacje i w nadchodzących miesiącach będziemy podejmować ostateczne decyzje. ●
Rozmawiał Piotr Miączyński

Czwarty chat na

Chcesz być przedsiębiorcą, zakładaj firmę. Chcesz pracować w szybko rosnącym start-upie, zapisz się tam na staż. Pracuj nawet za darmo, by zdobyć doświadczenie.

ROZMOWA Z
TYTUSEM GOŁASEM
założycielem Tidio. Jego firma ma pół miliarda unikatowych użytkowników miesięcznie

PIOTR MIĄCZYŃSKI: Pan ma fascynującą przeszłość, jeśli chodzi o podejmowane zajęcia zawodowe. „Przez pół dnia zbierałem truskawki. Zarobiłem 9 złotych, które zresztą wydałem na truskawki...”
TYTUS GOŁAS: To była jedyna praca, którą wykonywałem dla kogoś. Bardzo szybko jednak zdałem sobie sprawę, że chciałbym stworzyć coś własnego.

Ale dlaczego to, co pan zarobił, wydał na truskawki?
– Nie chciałem ich zabierać ani zjadać w trakcie pracy. A że przez pół dnia zbierania po prostu nabrałem ochoty na truskawki...

Jak ludzie słyszą: chciałbym stworzyć coś własnego, to myślą: jak skończę studia, to założę własną firmę, itp. Pan, w wieku 13 lat, zareklamował się w sieci: „Ogarniemy twój wizerunek w internecie, zrobimy logo, stronę, co będziesz chciał. Dzięki temu zyskasz czas dla rodziny”.
– Zostałem wtedy „gwiazdą” na Wykopie. Ktoś tam wrzucił to ogłoszenie. O prowadzeniu firmy jeszcze nic nie wiedziałem. Nie wiedziałem nawet, co to jest NIP.

To jak panu płacono?
– Doładowaniami na telefon.

Później na Allegro zbanowano pana za sprzedaż katalogów Ikea.
– Miałem 14, może 15 lat.

A ban był za co?
– Taka sprzedaż była niezgodna z regulaminem serwisu. Katalogi Ikea są bezpłatne.

Ruszył pan z własną aplikacją na Facebooka. W trzy dni napisał pan „Ranking Znajomych”. Ludzie porównywali wygląd swoich znajomych. Za każdym razem atrakcyjniejsza osoba dostawała punkt.
– Aplikacja była bardzo popularna, odwiedzało ją po 100 tysięcy użytkowników dziennie. W ciągu pół roku zarobiłem na reklamach około 30–40 tys. zł. Rozważałem, czy nie zająć się tylko tym.

I?
– Też ban. Oceny wyskakiwały na tablicach użytkowników. A były to, jak by nie patrzeć, treści niepożądane. Później zresztą Facebook w ogóle się

y live świecie

wycofał z możliwości publikowania postów za pomocą aplikacji. Bo profile były całkowicie zalane takim spamem. A ja poszedłem na informatykę.

I nie żałuje pan, że na studia poszedł?

– Teraz bym ponownie nie poszedł, o tak powiem.

A dlaczego?

– Ten czas można było inaczej wykorzystać. Nie uważam, żeby studia miały duży wpływ na moje życie. Przez pierwsze pół roku owszem, było super, bo poznałem ludzi. Później bardziej chodziło o to, żeby przetrwać, żeby zrobić zadania, których wymagają moi nauczyciele, i tyle.

A młodym ludziom pan by radził, żeby studia robić, czy nie? Zwracał pan przy rekrutacji uwagę na to, czy ktoś jest po studiach?

– Nie. Nikt u nas na to nie zwraca uwagi. Wykształcenie nie ma tu żadnego znaczenia, liczą się kompetencje.

Ale to jest też trudne pytanie, bo odpowiedziałbym, że zależy od tego, kim chcesz być. Jak chcesz być lekarzem, prawnikiem, psychoterapeutą, to nie sposób sobie wyobrazić, że ktoś mówi: nie idź na studia. Bo musisz tam iść.



• **Tytus Gołas w konkursie EY Przedsiębiorca Roku jest nominowany w kategorii Nowe Technologie/Innowacyjność**

FOT. DAMIAN BARTOSZEK/E&Y

W przypadku kierunków informatycznych, czy związanych z przedsiębiorczością, trudno powiedzieć, że studia to jest najbardziej optymalny wybór. Wystarczy popatrzeć na topowe osoby, które osiągnęły sukces w tych dziedzinach. I zobaczyć, jaką drogę zawodową przeszły. I nagle się okazuje, że studia nie miały tu większego znaczenia.

To wróćmy do tego młodego człowieka, który pyta pana o radę.

– Jak chcesz być przedsiębiorcą, zakładaj firmę. Jak chcesz pracować w szybko rosnącym start-upie, to zapisz się tam na staż. Pracuj nawet za darmo. Po to, aby zdobyć doświadczenie, odnaleźć się w tym środowisku. I wtedy mając doświadczenie, możesz dalej rozwijać karierę.

Kim pan chciał być, jak zaczął studia?

– Twórcą dużej aplikacji internetowej. I to się udało. Taki plan miałem od 15. roku życia.

I na studiach dalej robił pan aplikacje.

– Tak. Testowałem różne podejścia, ale te biznesy się nie do końca udawały.

Ile pan miał tych nieudanych prób?

– Trzy, cztery? W pewnym momencie ja i mój wspólnik Marcin Wiktor uruchomiliśmy Tidio Mobile, które miało przerabiać stronę na mobilną w 20 sekund.

I przerabialo?

– Zazwyczaj tak. Ale jak pojawił się klient z gigantycznym sklepem internetowym, to trzeba było to robić ręcznie. Przez 20 dni. Za 800 funtów. I kompletnie się to nie opłacało.

Wtedy pojawił się Tidio Elements, kreator stron internetowych.

– Też się nie sprzedawał. Ale jeden element miał bardzo popularny – live chat. Wzrost tej aplikacji był bardzo, bardzo duży. Wtedy poczułem, że to jest to. Że użytkownicy po prostu tego chcą.

„W ciągu pięciu, dziesięciu lat boty będą wszędzie, jak zadzwonisz do dentysty, żeby umówić się na wizytę, to też będziesz rozmawiał z botem”.

– Z tymi pięcioma latami to trochę przeszacowałem. Ale nadal uważam, że w tym kierunku pójdzie świat. Może nie za pięć, dziesięć lat, ale obser-

wując to, co się dzieje na rynku, do dwudziestu lat tak będzie na pewno.

Rozwiązanie, które mamy w tym momencie, czyli Lyro AI Agent, jest czymś, co nazwałbym czatem GPT dla wsparcia klienta. Już w tym momencie jesteśmy w stanie rozwiązać do 80 proc. zapytań klientów, nie psując doświadczenia z rozmowy.

Co to znaczy?

– Że rozmowa jest miła, przyjemna, nasz chatbot jest w stanie szybko odpowiadać na określone pytania. Dlaczego więc ta sama technologia nie miałaby być wdrożona, nie wiem, w salonie dentystycznym albo na przykład w restauracji?

A jeśli chatbot nie zna odpowiedzi?

– To człowiek, który ma tu znaleźć rozwiązanie, nie dostanie 10 zapytań, tylko dwa. Jest obciążony przez chatbota. Będzie bardziej skoncentrowany, praca sprawi mu większą przyjemność.

Nasze przewidywania są takie, że za parę lat 80 proc. rozmów będzie mogło być zautomatyzowane za pomocą AI. A pozostałe 20 proc., bardziej złożone, gdzie ten czas odpowiedzi może być trochę dłuższy, będzie obsługiwane przez ludzi.

Największe zagrożenie dla pana firmy?

– Technologia sztucznej inteligencji jest jeszcze młoda, każda technologia musi się zaadaptować. To nie jest tak, że wyszedł iPhone i od razu w tym samym roku wszyscy mieli smartfony. Musiały minąć 3–4 lata.

Na początku są early adopter-si, czyli kilka procent osób, które

od początku korzystają z tej technologii. Następnie jest przepaść. Później dopiero technologia idzie do mainstreamu. I tak samo jest z chatbotami i AI.

W tym momencie naszym największym zagrożeniem jest to, że będziemy zbyt wolni. Że z punktu widzenia marketingu, z punktu widzenia produktu, czy innych obszarów firmy, nie wprowadzimy produktu, strategii marketingowej, czy sprzedaży na najwyższym poziomie w momencie, kiedy ludzie zaczęną szukać tego typu rozwiązań. Nie będziemy odpowiednio dobrze wypożyczonowani, aby w ich głowach być numerem jeden.

Czyli rozwój to jest szybkość?

– Tak. To też nie jest łatwe. Jako firma dość mocno się w ostatnim czasie rozwinęliśmy. Trzy lata temu nasza firma to było około 50 osób, głównie w Szczecinie. Teraz jest to 180 osób z 19 krajów na świecie. W tym momencie prawie połowa naszej najwyższej kadry zarządzającej to osoby z zagranicy. Staramy się rekrutować bardzo dobrych menedżerów, którzy też będą w stanie nam pomóc z tą zmianą. I którzy już podobny proces w podobnej branży przeszli.

Wasi klienci?

– 98 proc. jest z zagranicy.

Pan dopuszcza sytuację, w której sprzedałby pan swoją firmę? I zaczął coś nowego?

– Oczywiście, że tak. Ale na pewno nie w ciągu najbliższych kilku lat. W życiu chciałbym zbudować trzy firmy. ●

Rozmawiał Piotr Miączyński

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34300426



Prezydent Wrocławia

wykonujący zadanie zleczone z zakresu administracji rządowej

ogłosił w dniu 31.01.2024 r.



przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż lokalu mieszkalnego nr 3 wraz z udziałem w nieruchomości wspólnej oraz prawie własności gruntu, położonego we Wrocławiu przy **ul. Borowskiej 138a**; obręb: Gaj, AM-3, dz. nr 22/2; pow. działki: **780 m²**.
Przeznaczenie podstawowe: miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego w rejonie ulic Armii Krajowej i Borowskiej – uchwała Rady Miejskiej Wrocławia nr L/1276/2013 z 28.11.2013 r. – zabudowa mieszkaniowa wielorodzinna, mieszkania towarzyszące, biura.
Cena wywoławcza: **650 000,00 zł**;
Wadium: **65 000,00 zł**

Przetarg odbędzie się w siedzibie Urzędu Miejskiego Wrocławia, przy ul. Hubskiej 8-16, w Sali nr 104, 05.04.2024 r. o godz. 10⁰⁰.

Pełną informację dotyczącą nieruchomości zawiera ogłoszenie wywieszone na tablicy ogłoszeń – gabłota przed budynkiem Urzędu Miejskiego Wrocławia – pl. Nowy Targ 1-8. Ogłoszenie o przetargu dostępne jest także w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego Wrocławia.

Dodatkowe informacje można uzyskać w Wydziale Nieruchomości Skarbu Państwa Urzędu Miejskiego Wrocławia – tel. 71/799 69 32.

Prezydent Wrocławia ma prawo odwołania przetargu z ważnych powodów.

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34300347

W Sądzie Rejonowym w Toruniu X Wydział Cywilny toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku z wniosku Skarbu Państwa – Ministra Klimatu i Środowiska po:

Wiesławie Zabłockim,

synu Haliny i Witolda, zmarłego dnia 22 listopada 2021 w Toruniu, ostatnio zamieszkałego w Toruniu.
Sprawa została zarejestrowana pod sygnaturą akt X NS 839/22.

Wzywa się spadkobierców zmarłego aby, w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu, w którym toczy się postępowanie i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

34300693

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34300584

TEREN FABRYKI MEBLI NA SPRZEDAŻ

Syndyk upadłości Furniture Concept spółka z o.o.
ul. Drzewna 1, 11-200 Bartoszyce

OGŁASZA PRZETARG NA SPRZEDAŻ SKŁADNIKÓW MASY UPADŁOŚCI

Przedsiębiorstwo było producentem wysokiej jakości mebli skrzyniowych.
Cena wywoławcza stanowi 70% ceny oszacowania.

SKŁADNIKI MASY UPADŁOŚCI, SPRZEDAWANE W PRZETARGU OBEJMUJĄ:

- 1) nieruchomość gruntową o pow. 42 301 m.kw. zabudowaną budynkami przemysłowymi o pow. użytkowej: 11 359,70 m.kw. położoną w Bartoszycach przy ul. Drzewnej 1;
o wartości 70% oszacowania tj. 6 088 670 zł netto;
- 2) aktywa obrotowe; zapasy, półprodukty, wyroby gotowe
o wartości 70% oszacowania tj. 203 029 zł netto.

SKŁADANIE OFERT:

Oferty nabycia składników masy upadłości, należy składać w zamkniętej nieprzezroczystej kopercie z adnotacją „Oferta przetargowa Furniture Concept” na adres: Kancelaria Notarialna Elżbiety Brewki, Olsztyn, ul. Kopernika 1/1, 10-510 Olsztyn, w terminie do 4 marca 2024 r. do godz. 15.00.

Otwarcie ofert nastąpi w dniu 5 marca 2024r o godzinie 12.00
w Kancelarii Notarialnej Elżbiety Brewki.

Warunkiem uczestniczenia w przetargu jest dokonanie wpłaty wadium w wysokości: 10% ceny wywoławczej.

Kwota wadium winna zostać wpłacona na rachunek masy upadłości

- nr 97 1930 1637 2420 0403 3190 0001 do dnia składania ofert
- prowadzony przez BPS Oddział w Olsztynie.

Pisemna oferta powinna spełniać warunki określone w Regulaminie sprzedaży składników masy upadłości.

Regulamin sprzedaży dostępny jest na stronie: www.syndykwasilewski.pl w zakładce aktualności/regulaminy sprzedaży.

Operaty szacunkowe udostępniane są przez syndyka.

Każdy oferent zobowiązany jest złożyć oświadczenie o zapoznaniu się z treścią Regulaminu sprzedaży. Zastrzega się prawo do odwołania, przerwania lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

Wszelkie informacje dostępne są pod nr telefonu: 604-439-299 w godz. 9-14.

34300694

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Gdy trudno opowiedzieć o śmierci

Poradnik, jak radzić sobie z żałobą na

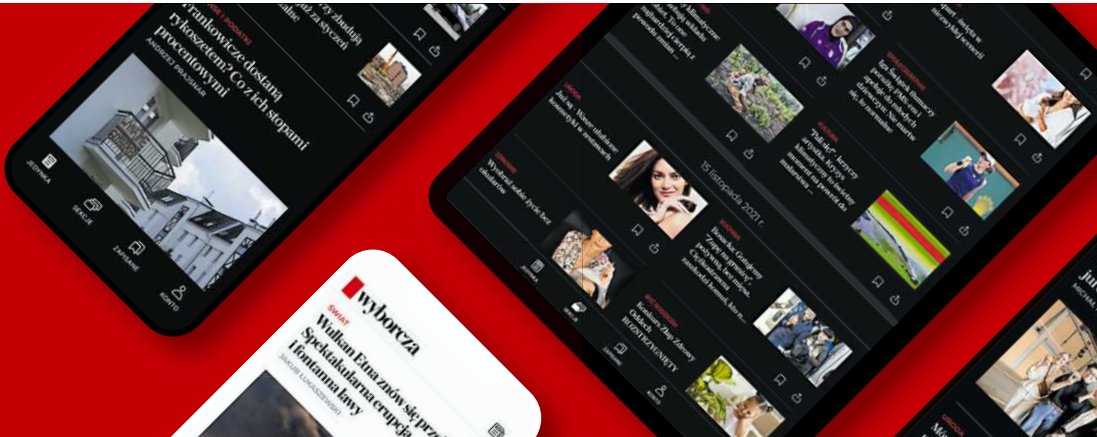
ODESZLI.PL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



**APLIKACJA
WYBORCZEJ**

Poznaj korzyści z czytania w aplikacji





Cztery mieszkania i patowynajem

Przerabiają stare suszarnie, dzielą większe mieszkania na mniejsze – wszystko po to, by zarobić jak najwięcej na wynajmie. Inwestorzy stają się zmorą wspólnot i spółdzielni mieszkaniowych.

Justyna Sobolak

W Katowickiej Spółdzielni Mieszkaniowej był przypadek, że jeden z właścicieli przebudował dawną suszarnię na cztery lokale mieszkalne. Najmniejszy lokal miał 18 m kw. powierzchni. Nie był to jednak rekord. Inny właściciel mieszkania z zasobu tej spółdzielni wydzielił z lokalu o powierzchni 61,34 m kw. aż pięć kolejnych!

– W wyniku adaptacji powstało w mieszkaniu pięć odrębnych części wydzielonych do odrębnego użytkowania, natomiast kuchnia, łazienka i ubikacja pozostały do wspólnego użytku. Wejście główne do mieszkania pozostało jedno i jest wspólne. Wydzielone do korzystania przez pięć odrębnych użytkowników pomieszczenia mają powierzchnie odpowiednio: 8,32 m kw., 11,17 m kw., 8,8 m kw., 9,64 m kw., 6,63 m kw. – mówi Anna Duch, rzeczniczka prasowa Katowickiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

JEDNO MIESZKANIE, 25 POKOI

Do podobnych zmian dochodzi niemal w każdym zakątku Polski. We wrześniu ubiegłego roku głośno było o mieszkaniu zlokalizowanym przy wrocławskim rynku. Właściciel podzielił lokal aż na 25 pokoi! Ceny wynajmu wahały się od 1020 zł do 1400 zł miesięcznie. 23 pokoje były jednoosobowe, dwa przeznaczone dla dwóch lokatorów, o powierzchni od 8 do 16 m kw.

W mieszkaniu mogło zamieszkać łącznie 27 osób, do ich dyspozycji pozostawały cztery łazienki i dwa aneksy kuchenne.

Dorota Dymyt-Holko, prawniczka i menedżerka projektów deweloperskich, współpracująca z MJK Kancelarie Adwokackie, zajmuje się we Wro-

clawiu sprawą nabywcy, który podzielił pięciopokojowe mieszkanie na sześć mniejszych lokali bez wentylacji.

– Obecnie powiatowe inspektoraty budowlane i spółdzielnie mieszkaniowe walczą z takimi potworkami w swoich zasobach i nakazują właścicielom przywrócić pierwotnych funkcji lokali. Takie „kawalerki” nie spełniają norm do zamieszkania. Cele więziennicze są większe niż mikrokawalerki z wydzieloną łazienką. Takie lokale nie spełniają również norm dotyczących nasświetlenia – mówi prawniczka.

W PODZIALE FORMALNYM MIKROKAWALERKI NIE PRZEJDĄ

Karolina Trzeciak-Wach, prawniczka z kancelarii Trzeciak-Wach Adwokaci i Radcowie Prawni, przyznaje, że do kancelarii zgłasza się coraz więcej osób z pytaniami w zakresie podziału mieszkań i są to zarówno inwestorzy, jak i wspólnoty mieszkaniowe, dla których staje się to uciążliwe.

– W praktyce mamy najczęściej przypadków mieszkań ok. 80-metrowych, które dzielone są z reguły na trzy, cztery mniejsze lokale. Największy podział, który akurat do nas trafił, to nieformalne wydzielenie pięciu lokali, jednak jestem w stanie sobie wyobrazić, że może spokojnie być ich więcej przy większych metrażach mieszkań przeznaczonych do podziału – mówi ekspertka.

Przypomina, że dokonać można podziału formalnego i nieformalnego. – Podział formalny polega na prawnym wyodrębnieniu nowych lokali z już istniejącego lokalu, tj. z jednego lokalu powstają dwa nowe lokale lub więcej, które będą pod względem prawnym samodzielne, uzyskują swój numer ewidencyjny i odrębną księgę wieczystą

itd. Taki podział wymaga zgody wspólnoty mieszkaniowej podjętej w formie uchwały. Obowiązek uzyskania zgody wspólnoty mieszkaniowej wynika z art. 22 ust. 4 ustawy o własności lokali – przypomina Karolina Trzeciak-Wach.

Przywołany artykuł brzmi:

Podział lokalu wymaga zgody właścicieli lokali wyrażonej w uchwale. W razie odmowy zainteresowany właściciel lokalu może żądać rozstrzygnięcia przez sąd.

Podkreśla, że jeżeli przy okazji podziału dochodzi do ingerencji w części wspólne, np. trzeba wybić otwór okienny lub drzwiowy w ścianie nośnej, to wtedy na taką czynność musi zgodzić się wspólnota mieszkaniowa. – W tym przypadku należy również sporządzić ekspertyzę przedstawiającą wyliczenia nośności budynku oraz projekt, sporządzone przez osoby z odpowiednimi uprawnieniami budowlanymi – dodaje prawniczka.

Przy podziale formalnym każdy z nowo powstałych lokali musi spełniać wymagania w sprawie warunków technicznych, jakim powinny odpowiadać budynki i ich usytuowanie. Jeden z artykułów stanowi o tym, że powierzchnia użytkowa mieszkania nie może być mniejsza niż 25 m kw. – Następnie należy uzyskać zaświadczenie o samodzielności nowo powstałych lokali i dokonać u notariusza ustanowienia tych lokali – wyjaśnia Trzeciak-Wach.

ZAWSZE ZGODA WSPÓLNOTY LUB SPÓŁDZIELNI

W większości przypadków jednak dochodzi do podziałów nieformalnych. Oznacza to, że właściciel dzieli nieformalnie swoje mieszkanie po to, żeby je wynajmować jak największej liczbie osób w ramach „oddzielnych” mieszkań. W takim przypad-

• **Właściciele najczęściej dzielą mieszkania na mniejsze w tzw. podziale nieformalnym, nie obowiązują ich wtedy większość restrykcji, ale to nie znaczy, że wszystko mogą**

FOT. STANISŁAW1999 / SHUTTERSTOCK

ku nie trzeba spełniać wymogu, że tak powstały „lokal” ma mieć powierzchnię minimum 25 m kw. Dlatego w praktyce to są często dużo mniejsze „kawalerki”.

– Przy tej okazji często inwestorzy dokonują ingerencji w ściany nośne i zapominają o uzyskaniu zgody wspólnoty mieszkaniowej na te czynności. Z takimi sytuacjami mamy często do czynienia w naszej kancelarii – opowiada Trzeciak-Wach.

I podaje przykład: zgłosił się do nich pan, któremu popękała ściana nośna i pęknięcie niepokojąco się powiększało, zorientował się, że lokal piętro niżej został nieformalnie podzielony, ma nowo wykuty otwór drzwiowy w miejscu, w którym nie powinno go być, czyli w ścianie nośnej.

– W tym przypadku dochodziliśmy przywrócenia stanu zgodnego z prawem, tj. zabudowy wybitego otworu drzwiowego. Inwestor, który nie dopełni odpowiednich formalności, nie tylko naraża się na tego rodzaju postępowanie ze strony wspólnoty, lecz również musi pamiętać o tym, że jest to bardzo poważne naruszenie, ponieważ rodzaj ingerencji może grozić katastrofą budowlaną – mówi Karolina Trzeciak-Wach.

Warto wspomnieć sytuację sprzed dwóch lat w Jasle. Tam mężczyzna, który nabył lokal na parterze bloku, nakazał robotnikom usunięcie wszystkich filarów. Jedna z podpór została zdemontowana całkowicie, w trakcie usuwania kolejnej mieszkańcy budynku, zaniepokojeni ogromnym hałasem, zawiadomili policję. Funkcjonariusze wezwali inspektorów budownictwa i strażaków. Jeszcze tego samego dnia powiatowy inspektor nadzoru budowlanego zarządził ewakuację całego bloku. Ludzie opuszczali swoje mieszkania w pośpiechu, po zmroku, i wrócili do nich po upływie prawie trzech miesięcy.

Jacek Janas, prezes zarządu Polskiego Stowarzyszenia Zarządców Nieruchomości, przypomina, że uzyskiwanie zgód na działanie w zakresie podziału czy przebudowy lokali dotyczy nie tylko wspólnot mieszkaniowych, lecz również spółdzielni.

– Każda przeróbka budowlana powinna więc być przeprowadzana pod fachowym nadzorem technicznym, a czasami będzie też wymagać odrębnych zgód i pozwoleń. W spółdzielniach mieszkaniowych wszelkie zgody wydaje w tym zakresie zarząd na podstawie obowiązującego statutu czy też innych przyjętych przez spółdzielnie regulaminów. We wspólnotach nie ma statutu ani regulaminów, tak więc decyzje oparte są na uchwałach wspólnoty, które muszą być przyjęte przez właścicieli reprezentujących ponad 50 proc. udziałów w nieruchomości – zauważa.

NAJPIERW REGULAMIN

Najlepiej przed rozpoczęciem jakichkolwiek prac zapoznać się z regulaminem wspólnot i spółdzielni. – W regulaminie określone są prace wewnątrz lokalu, które są zabronione, a na które jego użytkownik musi uzyskać zgodę spółdzielni. Uzyskanie przez użytkownika lokalu pisemnej zgody spółdzielni jest niezbędne np. do wykonywania otworów w ścianach wewnętrznych lokalu – mówi Julia Tritt, rzeczniczka prasowa Spółdzielni Mieszkaniowej „Osiedle Młodych” w Poznaniu.

Jak dodaje, w przypadku zamiaru wykonywania otworu w ścianach nośnych warunkiem pozytywnego rozpatrzenia wniosku o pozwolenie na wykonanie prac jest przedstawienie decyzji administracyjnej o zatwierdzeniu projektu budowlanego i udzieleniu pozwolenia na budowę wydanej przez państwowy organ administracji architektoniczno-budowlanej wraz z dołączeniem dokumentacji technicznej. ●

Przeprowadzka za marzeniami

Piękne widoki, spokój, bliskość natury. Emilia i Monika rzuciły wszystko i przeniosły się w Bieszczady. Kultowe już hasło wiele osób przyjmuje za życiową dewizę.

Justyna Sobolak

Emilia Idczak w sierpniu 2023 r. rzuciła wszystko i przeprowadziła się wraz z rodziną z Łodzi w Bieszczady. Osiadła w Strzebowiskach w gminie Cisna. – Szukałam pracy i natknęłam się na portalu OLX na ofertę pracy w leśnej szkole. Oferowano pracę i miejsce zamieszkania – w domku z kominkiem – opowiada. Emilia wysłała CV i po dwóch miesiącach dostała pozytywną odpowiedź. – Zastanawialiśmy się około miesiąca, czy jesteśmy gotowi rzucić wszystko i przeprowadzić się z Łodzi w Bieszczady, ale tak naprawdę od początku wiedzieliśmy, że chcemy i to będzie dobra decyzja – mówi.

„WYDAJEMY TRZY RAZY MNIEJ”

To, co docenia najbardziej, to zjawiskowy widok każdego dnia. – Dla mnie to najpiękniejsza wieś w Polsce. Widok na panoramę polonin, ekstremalnie czyste powietrze i brak miejskiego zgiełku. Ciekawe jest też to, że ze względu na odległość – 50 km do normalnego sklepu spożywczego – wydajemy trzy razy mniej pieniędzy, bo nie jesteśmy poddawani ciągłym pokusom marketingowym. Jedynie buty, jakie są tu potrzebne, to kilka rodzajów kaloszy – mówi.

ŻYCIE W ZGODZIE Z NATURĄ

Tego, czy zostanie w Bieszczadach na stałe, nie wie jeszcze Monika Zell, autorka bloga „Baba na rybach”. By przyjechać na południe Polski, rzuciła, jak mówi, „prawie wszystko”, bo z pracy nie zrezygnowała. Pracuje zdalnie.

W Bieszczady przeprowadziła się w kwietniu 2023 r. wraz z narzeczonym. – Jestem z Gorzowa Wielkopolskiego, naręczony z Poznania. Ostatnie cztery lata mieszkaliśmy w Komornikach pod Poznaniem, ale w każdy wolny weekend jeździliśmy ponad 100 km w jedną stronę, żeby spędzić dzień nad rzeką i łowić pstrągi. W sierpniu 2022 r. pierwszy raz przyjechalśmy na urlop w Bieszczady i bardzo nam się podobało. Większość z tego tygodnia spędziliśmy oczywiście z wędkami nad wodą, ale też byliśmy cały dzień na szlaku i zdołaliśmy Tarnicę – opowiada, nie kryjąc ekscytacji, Monika.

Po paru miesiącach para zaczęła myśleć o zmianie miejsca zamieszkania. – Stwierdziliśmy, że warto gonić marzenia, nic nas nie ogranicza i możemy mieszkać nad piękną rzeką. Wypowiedzieliśmy więc umowę wynajmu mieszkania, spakowaliśmy rzeczy oraz psa i w kwietniu 2023 r., zaraz po Wielkanocy, ruszyliśmy w prawie 700-kilometrową trasę do nowego domu – do Leska. Udało nam się wynająć dom na uboczu, nad samym Sanem, ze stodołą, kurnikami – mamy swoje kury! – i z kawałkiem ogrodu, gdzie mamy swój warzyw-



• **Monika Zell (na zdjęciu) wyjechała w Bieszczady, by móc mieszkać blisko rzeki. Czy to przeprowadzka na stałe – jeszcze nie wie**

FOT. BABA NA RYBACH

niak. Spełniliśmy tym samym marzenie mojego narzeczonego, by mieszkać nad rzeką i w górach – mówi Monika.

Co docenia najbardziej? – Żyje się tu spokojniej, bardziej w zgodzie z naturą, a przede wszystkim możemy kontynuować naszą pasję i być na rybach praktycznie tak często, kiedy tylko chcemy. Plusy to: bliskość gór, widoki na co dzień, możliwość wejścia na szlaki – niecała godzina jazdy z Leska – zauważa. Ale minusy też są. – Teraz Bieszczady mamy blisko, ale poza tym to wszędzie daleko! To piękny etap w życiu, ale czy zostaniemy tu na zawsze? Jeszcze nie wiem – twierdzi Monika.

DRUGI DOM

Z sondy przeprowadzonej przez portal Nieruchomosci-online.pl dla serwisu Wyborcza.biz wynika, że nieruchomości w Bieszczadach cieszą się niesłabnącą popularnością, a kultowe już słowa „rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady” wiele osób przyjmuje za życiową dewizę. Choć, jak podkreślają pośrednicy, większość „rzuca wszystko” tylko na chwilę, a Bieszczady traktuje jako drugi dom. To najczęściej osoby z grubszym portfelem, które pozwolić mogą sobie na kupno domu bądź dział-

ki albo w urokliwych zakątkach, na uboczu, albo w turystycznych, np. z dostępem do jeziora.

– Oferta, która trafia do internetu, przyciąga przede wszystkim klienta z grubszym portfelem, ale najczęściej nie jest to ktoś, kto traktuje to jako inwestycję. Domy w Bieszczadach kupują bogaci klienci z całej Polski najczęściej dla siebie, czyli pod kątem sezonowego wypoczynku. W naszej ofercie jest m.in. dom z 6-arową działką w Polańczyku. To centrum Bieszczad, z dostępem do Jeziora Solińskiego. Cena: 2 mln 649 tys. zł. Mieliśmy trzy odpowiedzi na tę ofertę i za każdym razem klienci mówili, że nieruchomości miałyby im służyć jako dom sezonowy. W dodatku nie zimą, a latem – zauważa Arkadiusz Wiczyński z biura Stoprocent Nieruchomości.

W podobnym tonie wypowiada się Paweł Zygmunt z Freedom Nieruchomości. – Trudno jednoznacznie ocenić, kto najczęściej interesuje się ogłoszeniami sprzedaży domów w Bieszczadach. Na nasze ostatnie oferty odpowiadała praktycznie każda grupa klientów, czyli zarówno bogate osoby prywatne, inwestorzy z całej Polski, jak i miejscowi. Natomiast zakupu dokonywały już najczęściej osoby prywatne, mieszkające na terenie naszego województwa, które marzyły o posiadaniu takiej nieruchomości – zauważa.

Dodaje, że klienci z innych regionów kupują domy najczęściej pod kątem posiadania nieruchomości sezonowej, ale też z myślą o okazjonalnym najmie.

– Bieszczady przyciągają turystów, więc [klienci] nie chcą rezygnować z takiej możliwości zarobku – dodaje.

NIERUCHOMOŚCI JAK NA LEKARSTWO

Rafał Bieńkowski, PR menedżer portalu Nieruchomosci-online.pl, zwraca uwagę, że szukając domu w najbardziej znanych lokalizacjach w Bieszczadach, trzeba trzymać rękę na pulsie i czujnie śledzić ogłoszenia, bo ofert jest po prostu mało.

– Podaż w tym regionie górskim jest o wiele mniejsza niż w przypadku Podhala i Karkonoszy. Dane Nieruchomosci-online.pl ze stycznia wskazują, że gdybyśmy chcieli kupić dom w Ustrzykach Dolnych lub w promieniu 10 km od tej miejscowości, mamy do dyspozycji kilkanaście ogłoszeń dla tej lokalizacji. W przypadku Soliny i okolic wybór jest podobny. Dobre oferty szybko więc znikają. Oczywiście więcej domów na sprzedaż znajdziemy w okolicach położonego kilkadziesiąt kilometrów dalej Sanoka, który może być dobrą bazą wypadową. Będzie też tam znacznie taniej – mówi Rafał Bieńkowski.

Ceny domów wolno stojących w popularnych miejscowościach w Bieszczadach są zróżnicowane. Stawki ofertowe na Nieruchomosci-online.pl wahają się od około 500 tys. zł do 3 mln zł. Domy wycenione poniżej miliona złotych mogą wydawać się atrakcyjne, ale z reguły są to nieruchomości do remontu lub wykończenia.

– Jeden z najdrożej wycenionych domów, który trafił do sprzedaży w naszym portalu, znajduje się w miejscowości Berezka. Budynek podzielony na cztery niezależne apartamenty liczy łącznie 415 m kw. i został wyceniony na 2,8 mln zł – podkreśla Rafał Bieńkowski.

Chcąc osiąść na stałe w Bieszczadach, trzeba liczyć się ze sporym kosztem, zwłaszcza myśląc o własnym domu. Ceny działek poszybowywały w górę. W turystycznych miejscowościach, jak Solina czy Polańczyk, przekraczają nawet 500 zł za m kw. Za 12-arową działkę zapłacić trzeba około 500–700 tys. zł. O wiele taniej jest we wsiach oddalonych od głównych punktów. Można znaleźć działki w cenie 50 zł za m kw.

Wciąż w stosunku do innych części kraju można znaleźć atrakcyjne ceno-wo mieszkania. W Ustrzykach na rynku wtórnym ceny utrzymują się w granicach 5 tys. zł za m kw. Nowe lokale pojawiają się na rynku z ceną 7,5 tys. zł za m kw. Ale jak mówi nam wielu pośredników, osób, które szukają w Bieszczadach drugiego domu, raczej nie interesują mieszkania. Chcą przebywać na łonie natury, a nie w blokowiskach. ●

Domy w Bieszczadach

500

TYS. ZŁ

• **Tyle może kosztować dom do remontu. Ceny najdroższych nieruchomości sięgają ok. 3 mln zł**

Spis powszechny

„Ja to, proszę pana, mam bardzo dobre połączenie”

Warszawa, Sosnowiec, Bytom – z tych miast wyjeżdżamy do pracy. Pracownicy z Podkarpacia najbardziej mobilni.

Danuta Pawłowska
grafika **Łukasz Rudnikowski**

Po prawie trzech latach od spisu powszechnego GUS zbliża się do końca publikowania jego wyników. Ostatniego dnia stycznia 2024 r. dostaliśmy informację o tym, co mówiliśmy na temat naszych dojazdów do pracy.

Przypomnijmy – spis powszechny trwał od kwietnia do końca września 2021 r. Większość informacji zbierano w formie elektronicznej. Tu ważna uwaga – spis dotyczył tygodnia 25–31 marca 2021 r., czyli drugiego roku pandemii. Liczba dziennych potwierdzonych przypadków koronawirusa przekraczała w marcu 30 tys., zgonów mieliśmy po kilkaset każdego dnia.

Mimo to liczba osób dojeżdżających w porównaniu z poprzednim badaniem – z 2011 r. – wzrosła.

Jak dokładnie brzmiało pytanie o dojazd do pracy w kwestionariuszu spisu? „Proszę podać miejsce wykonywania pracy głównej”. Do wyboru była m.in. odpowiedź „pod adresem innym niż miejsce zamieszkania” i tu można było wybrać miejscowość.

Czy ze spisu wiadomo o kombinowanych połączeniach do pracy jak z filmu „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”? W kwestionariuszu nie było niestety pytań o czas dojazdu, częstotliwość dojazdów, wybór środka transportu i możliwość pracy zdalnej. Jednak autorzy badania przygotowują macierz dostępności zawierającą oszacowanie odległości i czasu przejazdu samochodem osobowym pomiędzy wybranymi gminami w Polsce w 2021 r. Na kiedy? Nie wiadomo.

CO TRZECIA OSOBA JEŹDZI DO PRACY DO INNEJ MIEJSCOWOŚCI

Według wyników spisu z 2021 r. liczba osób, które dojeżdżały do pracy w innej gminie niż miejsce zamieszkania, liczyła prawie 5,2 mln osób, co stanowiło 37,7 proc. ogólnej liczby zatrudnionych.

Dla porównania – w 2011 r. (to także dane ze spisu powszechnego) wynikało, że do pracy dojeżdżało 3,1 mln pracowników najemnych. Wtedy stanowiło to 32,5 proc. ich ogólnej liczby.

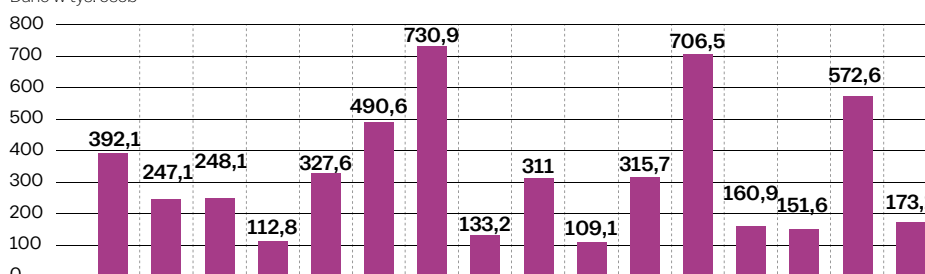
Jeśli spojrzymy na dane według województw, to największa liczba dojeżdżających do pracy mieszka w woj. mazowieckim – 731 tys., śląskim (707 tys.) i wielkopolskim (573 tys.). Ale jeśli weźmiemy pod uwagę liczbę pracujących poza miejscem zamieszkania w stosunku do wszystkich aktywnych zawodowo, to ranking wygląda zupełnie inaczej. Województwem, w którym udział dojeżdżających pracowników najemnych jest największy, okazuje się podkarpackie (44,5 proc.).

Natomiast gdy uwzględnimy liczbę pracowników najemnych wyjeżdżających do pracy poza województwo, w którym mieszkają, czołowe miejsca zajmują województwa:

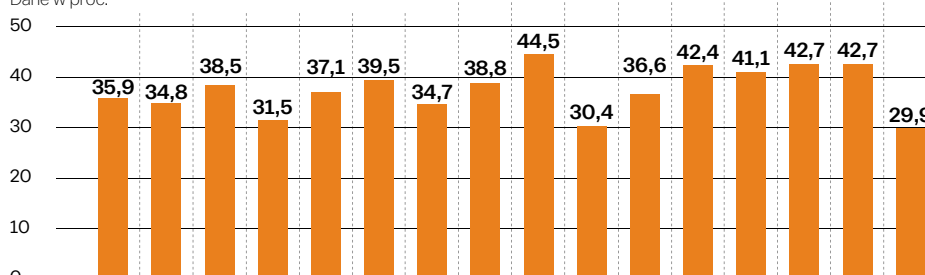
W drodze do pracy

Dojeżdżający do pracy w innej miejscowości niż adres zamieszkania w podziale na województwa

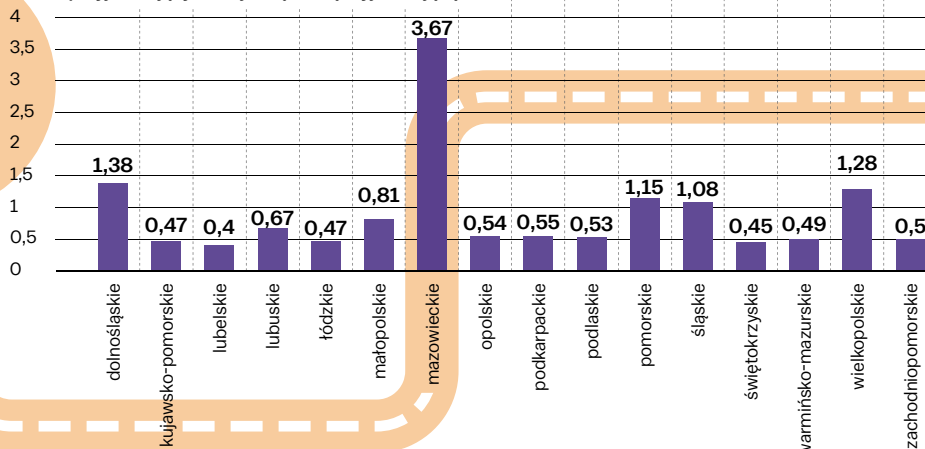
Liczba dojeżdżających
Dane w tys. osób



Udział dojeżdżających w liczbie zatrudnionych
Dane w proc.



Liczba przyjeżdżających na jedną osobę wyjeżdżającą

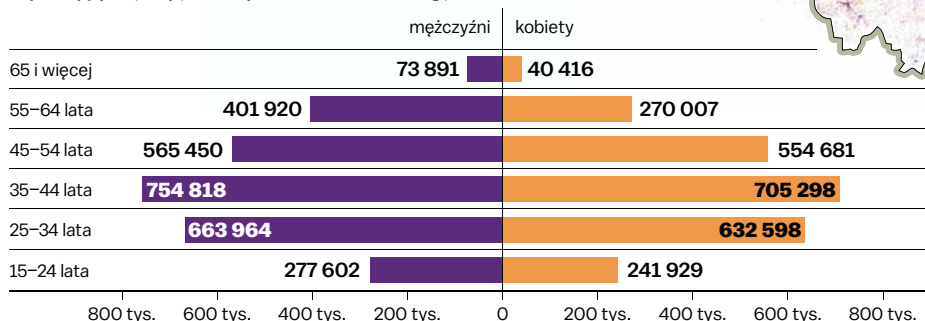


Gminy z największą przewagą liczby przyjeżdżających do pracy nad liczbą wyjeżdżających

Kleszczów	17,92
Polkowice miasto	8,39
Puchaczów	8,11
Włoszowa miasto	7,28
Warszawa	6,97
Mielec	6,92
Wielbark miasto	6,88
Pietrowice Wielkie	6,86
Zwierzyniec miasto	6,68
Limanowa	6,68

Ruchy nasze codzienne

Dojeżdżający do pracy poza miejsce zamieszkania według płci i wieku w 2021 r.



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: GUS, NSP 2021

małopolskie (61,5 tys.), śląskie (60,1 tys.) oraz łódzkie (55,4 tys.).

Jak zauważyli eksperci z GUS, największą atrakcyjnością rynku pracy charakteryzuje się województwo mazowieckie. Tam iloraz przepływów związanych z zatrudnieniem, czyli relacja liczby przyjeżdżających do pracy w danym województwie do liczby osób, które wyjeżdżają z niego do pracy w innym województwie, wyniósł 3,67. Prościej: na jedną osobę wyjeżdżającą do pracy poza woj. mazowieckie przypadają prawie cztery, które tu przyjeżdżają.

MŁODZI MOBILNI PRACOWNICY

Jeśli spojrzymy na wiek mobilnych pracowników, to największymi są grupy wiekowe 35–44 lata (prawie 1,5 mln), 25–34 lata (1,3 mln) oraz 45–54 lata (1,1 mln). Te trzy grupy wiekowe generują prawie 75 proc. całego strumienia związanego z dojazdami do pracy poza miejscem zamieszkania. Najmniejszą mobilnością w kontekście dojazdów do pracy charakteryzuje się grupa wiekowa od 65. roku życia.

Można zauważyć, że dwie środkowe grupy w rozkładzie według wieku (czyli od 25 do 54 lat) charakteryzują się nieco większym udziałem dojeżdżających kobiet niż mężczyzn. W ogólnej liczbie dojeżdżających do pracy w Polsce w 2021 r. dominowali mężczyźni, stanowią oni 53 proc.

Największą atrakcyjnością rynku pracy w ujęciu powiatowym charakteryzuje się Warszawa. Na jednego pracownika najemnego wyjeżdżającego do pracy w innym powiecie przypada tu przeciętnie 6,97 pracownika najemnego przyjeżdżającego z innego powiatu.

Wśród 10 gmin z największą liczbą przyjeżdżających do pracy pierwszych dziewięć miejsc zajmują miasta wojewódzkie. Dojazdy do Warszawy deklaruje 390 tys. pracowników najemnych, a do Krakowa – 260 tys.

W rankingu gmin z największą liczbą osób wyjeżdżających do pracy przoduje Warszawa (56 tys.), na czele rankingu są też m.in. Sosnowiec (30 tys.) i Bytom (25 tys.) oraz Gdynia (24 tys.).

Trzy pierwsze miejsca na liście gmin z największym ilorazem przepływów (czyli największą przewagą liczby przyjeżdżających do pracy nad liczbą wyjeżdżających) zajmują gminy, na których terenie znajdują się kopalnie, tj. Kleszczów (17,92), Polkowice miasto (8,39) oraz Puchaczów (8,11). Oznacza to, że w Kleszczowie na jednego zatrudnionego wyjeżdżającego do pracy przeciętnie przypadało 18 przyjeżdżających do pracy w tej gminie.

• Więcej czytaj na [BIQdata.pl](https://biqdata.pl)

BIQDATA.pl

• Więcej czytaj na [BIQdata.pl](https://biqdata.pl)

1 RP



W sprzedaży

Wybraliśmy najwybitniejsze powieści,
kryminały, okładki, komiksy
oraz książki dla dzieci i młodzieży

- + Co nosisz w kieszeni?
Historię wynalazku, który działa jak mały
prywatny sejf, spisuje Karolina Sulej
- + Dodatek: Jak się pisze o seksie

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

• **Jahja Sinwar**FOT. EMMANUEL DUNAND/
AFP / EAST NEWS**Marta Urzędowska**

„Okrutny, autorytarny, wpływowy, chytry, zdolny do manipulacji, dotrzymujący sekretów nawet w więzieniu, zdolny porwać tłumy” – tak izraelski wywiad, w opracowaniu cytowanym dziś przez „Financial Times”, opisywał Jahję Sinwara, jednego z najważniejszych hamasowców, już kilkanaście lat temu – kiedy terrorysta odsiadywał w izraelskim więzieniu ponaddwudziestoletni wyrok za zamordowanie dwunastu osób.

Dziś dla Izraelczyków to ponownie wróg numer jeden, najbardziej poszukiwany członek Hamasu, uznawany za bezpośredniego dowódcę grupy w Strefie Gazy i autora planu bestialskiego ataku na Izrael z 7 października, w którym terroryści zabili 1,2 tys. Izraelczyków, a 250 porwali do Gazy.

Zakopywać ludzi żywcem

Wychowany w slumsach Chan Junus na południu Gazy Jahja Sinwar już za młodu stał się ważną postacią ruchu oporu wobec izraelskiej okupacji. W latach 80. zyskał przydomek „zaklinacz”. Miał wówczas doradzać samemu założycielowi Hamasu, brodatemu, ponuremu, przykutemu do wózka szejkowi Ahmadowi Jasinowi.

Jako szef wewnętrznego aparatu bezpieczeństwa, osławionych hamasowskich Sił Chwały, bezwzględnie ścigał Palestyńczyków podejrzanych o kolaborowanie z Izraelem. Tropił i zabijał, a karać potrafił okrutnie – ponoć lubi wspominać, jak jednego z podejrzanych kazał zakopać żywcem własnemu bratu, przy czym egzekucja trwała godzinami, bo do zakopywania miał użyć łyżki. Choć nigdy nie tłumaczył się z okrucieństwa, chętnie powtarzał, że sam Szejk Jasin wydał fatwę pozwalającą mu natychmiast zabijać każdego podejrzanego o współpracę z wrogiem.

Nazywany „twarzą zła” albo „rzeźnikiem z Chan Junus”, latami był postrachem palestyńskiej ulicy i kolegów z Hamasu. – [Członkowie Hamasu] zupełnie inaczej się przy nim zachowywali. To był strach – opowiada dobrze znające realia grupy źródło „FT” w Gazie. Dziś eksperci sugerują, że właśnie ze strachu nikt w Hamasie mu się nie sprzeciwił, kiedy zdecydował się na barbarzyński atak z 7 października, chociaż jasne było, że odwet Izraelczyków będzie bezlitosny.

Przywódca Hamasu walczą o władzę i wpływy

Najważniejsi szefowie terrorystów z Hamasu mają ze sobą coraz mocniej na pieńku. To rywalizacja sięgająca kilkudziesięciu lat, dziś pociągająca za sobą kłótnie o los przyszłego rozejmu.

Dziś Sinwar jest po sześćdziesiątce, ale wciąż jest jednym z najmłodszych przywódców terrorystów z Hamasu. Szefuje grupie z wnętrza Strefy Gazy. Izraelczycy nie mają wątpliwości – to on był mózgiem ataku z 7 października, dlatego dziś przez izraelski wywiad nazywany jest „żywym trupem”, którego dni są policzone. Uciekać nie będzie – cytowani w mediach Palestyńczycy są pewni, że Sinwar nigdy nie opuści Gazy, będzie walczył do końca i tutaj zginie.

Dla Izraelczyków okazał się zagadką – w więzieniu nauczył się płynnie hebrajskiego, nieustannie czytał izraelskie gazety i książki. Po tym jak – w ramach wymiany na izraelskiego żołnierza Gilada Szalita – kilkanaście lat temu wypuścili go z więzienia, dali mu się zwieść. Przekonał ich, że dziś nie w głowie mu wojaczka i woli rządzić Gazą i uzyskiwać od Izraela ustępstwa gospodarcze, niż aktywnie z nim walczyć. Okazuje się, że Palestyńczyk uśpił ich czujność, by kupić

swoim ludziom czas na przygotowanie największego ataku w historii Izraela.

Sinwar wpadł w szal

Dziś coraz głośniejsze jest o tym, że nasilają się tarcia między Sinwarem i mieszkającym w Katarze Ismailem Haniją, szefem biura politycznego Hamasu. Rządzący wcześniej Gazą Hanija w 2017 r. został zdetronizowany właśnie przez Sinwara. Formalnie Hanija dostał awans na stanowisko szefa politbiura, ale w praktyce, wyjeżdżając z Gazy, stracił nad nią bezpośrednią kontrolę i został odsunięty na boczny tor.

Sinwarowi nie w smak są rozmowy, które Hanija i inni ważni hamasowcy spoza Gazy, jak Chalid Maszaal, prowadzą z Autonomią Palestyńską rządzącą Zachodnim Brzegiem Jordanu. Według Kanału 12 izraelskiej telewizji Sinwar nie posiadał się z wściekłości, kiedy usłyszał, że rozmowy z szefem Autonomii Mahmudem Abbasem, którym od początku był przeciwny, toczyły się dosłownie nad jego głową. Miał się o nich dowiedzieć, siedząc w swoim bunkrze, w jednym z tuneli w Strefie Gazy. Według izraelskiej telewizji Palestyńczyk przysięgał wówczas, że nie pozwoli na kolejne spotkania.

Sinwar ma za złe kolegom żyjącym w luksusie w Katarze, Bejrucie czy Stambule, że chcą decydować o losie wojujących na miejscu terrorystów bez ich udziału. Nie jest też gotowy na ustępstwa. Hanija w Egipcie rozmawia o przyszłości Gazy po wojnie i jest gotów na kolejny rozejm, ale Sinwar chce walczyć do końca i nie uważa obecnej wojny za przegraną. Jak oceniają w swoim opracowaniu Matthew Levitt i Ehud Yaari, eksperci od Hamasu z Washington Institute for Near East, Sinwar jest przekonany, że jeśli Hamas choć częściowo przetrwa izraelski odwet, będzie mógł odtrąbić „święte zwycięstwo”.

„To człowiek z olbrzymim ego, który uważa, że ma ważną misję. Socjopata, który bez wahania poświęci dziesiątki tysięcy ludzi, by osiągnąć cel – oceniają anonimowe źródła w izraelskim wywiadzie, cytowane przez „FT”. – To człowiek napędzany nienawiścią, rzezią, marzeniem o zniszczeniu Izraela”.

Żadnych szczegółów ataku

Poważne zgrzyty na linii Sinwar – Hanija występowały od dawna, ale październikowy atak

na Izrael zdecydowanie je nasilił. Jak przekonują Levitt i Yaari, którzy powołują się na „liczne prywatne rozmowy z wieloma źródłami w regionie”, szczegóły ataku były kompletnym zaskoczeniem dla Hanii i reszty dowódców Hamasu mieszkających poza Gazą. Choć znali plany Sinwara, by w którymś momencie zaatakować Izrael, i dyskutowali o tym z irańską Gwardią Rewolucyjną i libańskim Hezbollahem, nie znali skali ani momentu szykowanego przez Sinwara uderzenia.

Szczegóły znali tylko nieliczni – Sinwar, jego brat Muhammad i wiceszef zbrojnego skrzydła Hamasu Marwan Issa. A choć poszczególne oddziały Hamasu miesiącami prowadzili ćwiczenia przed atakiem, nawet dowódcom poszczególnych brygad i batalionów nie mówiono, że będą musieli zniszczyć ogrodzenie graniczne, przeniknąć do Izraela, atakować posterunki i osiedla, zabijając jak najwięcej cywilów, biorąc zakładników, pałac i rujnując domy. Szczegóły poznali kilka godzin przed atakiem, podobnie jak szefowie grupy za granicą. To dlatego tuż po ataku niektórzy z nich krytykowali jego skalę i brutalność i próbowali ograniczać straty – publicznie przekonywali, że hamasowcy nie zabijali kobiet i dzieci.

Szefowie za granicą obwiniają też Sinwara, że źle zrozumiał mętne sugestie Irańczyków i Hezbollahu, którzy mydlili mu oczy, twierdząc, że wesprą Hamas po ataku, wciągając Izrael w wojnę na wielu frontach. W rozmowach z zagranicznymi dyplomatami zagraniczni hamasowcy przyznają też, że Sinwar mógł poprzestać na znacznie mniejszej operacji porwania zakładników, co pozwoliłoby doprowadzić do zwolnienia palestyńskich więźniów. Były minister ds. komunikacji w rządzie Hamasu Jusuf al-Mansi powiedział wręcz izraelskim śledczym, że Sinwar swoim atakiem „cofnął Gazę o dwieście lat”.

Koniec rozmów

Choć Hanija nadal rozmawia w Egipcie o nowym rozejmie, zwolnieniu zakładników i drodze do trwałego zawieszenia broni, dopóki Sinwar będzie chciał kontynuować walkę, pozostaną to puste obietnice.

Terrorysta celowo przestał rozmawiać z kolegami za granicą – jak podają Levitt i Yaari, w ostatnich tygodniach jego wysłannik do rozmów z kolegami z zagranicy milczy, a komunikacja między bunkrem samego Sinwara pod Chan Junus a członkami politbiura w Dausze, Bejrucie i Stambule niemal zamarła.

Ostatnim razem Sinwar skontaktował się z Haniją, zanim ten wyruszył do Kairu na najnowsze rozmowy w sprawie rozejmu i zwolnienia zakładników. Doradził mu wówczas, by Hanija dał sobie spokój, bo on i tak nie zgodzi się przerwać walk i uwolnić porwanych, dopóki Izrael całkowicie nie wycofa się z Gazy.

Izraelczycy nie mają wątpliwości – to Sinwar był mózgiem ataku z 7 października, dlatego dziś przez izraelski wywiad nazywany jest „żywym trupem”, którego dni są policzone

Tarcia między hamasowcami w enklawie i poza nią nie dotyczą tylko garstki przywódców. Jak szacują izraelski wywiad i armia, ok. jednej czwartej kluczowych członków Hamasu mieszka za granicą. Wszyscy najważniejsi polityczni i dyplomatyczni przywódcy grupy działają spoza terenów Gazy – z Iranu, Kataru, Libanu i Turcji. A Muhammad Kassim Sawalha, terrorysta organizujący operacje Hamasu na Zachodnim Brzegu, według izraelskich mediów mieszka w Londynie.

Izraelczycy przekonują, że trzymają rękę na pulsie. Jak informowały na początku grudnia ubiegłego roku źródła wywiadowcze cytowane w dzienniku „Jerusalem Post”, izraelski wywiad „nieustannie pracuje, by rozumieć i lokalizować liderów Hamasu”. ●

Amerykanie zbombardowali pozycje Huti w Jemenie

Amerykanie i ich sojusznicy ostrzelali radykałów Huti z Jemenu, którzy atakują zachodnie statki w Zatoce Adeńskiej. Klucz do osłabienia Huti, również innych bojówek w regionie, jest w rękach wspierających ich Iranu.

Amerykanie ze swoimi sojusznikami (Wielką Brytanią oraz Australią, Bahrajnem, Danią, Kanadą, Holandią i Wielką Brytanią, które zapewniły wsparcie logistyczne) przeprowadzili ataki w sobotę. Łącznie uderzyli z powietrza i morza 36 razy w 13 celów w północnym Jemenie, wykorzystując m.in. pociski manewrujące Tomahawk. Według oficjalnych informacji zniszczone miały zostać m.in. magazyny broni oraz wyrzutnie rakietowe Huti, którymi atakowali zachodnie statki w Zatoce Adeńskiej.

Nie ma informacji o ofiarach amerykańskich ataków. Huti zapowiedzieli w swoim oświadczeniu, że ostrzelanie ich pozycji nie powstrzyma ich przed dalszymi atakami na zachodnie statki.

Ataki nie powstrzymały Huti

– Nasze operacje wojskowe przeciwko jednostkom syjonistycznym będą kontynuowane, dopóki agresja na Gazę nie ustanie, bez względu na to, jakich ofiar od nas zażądają – stwierdził wysoki rangą urzędnik Huti, dodając: – Na eskalację odpowiemy eskalacją.

Kontrolujący część Jemenu Huti od kilku miesięcy atakują zachodnie statki, żądając wycofania się Izraela ze Strefy

Gazy. Wielu armatorów zostało zmuszonych z tego powodu do rezygnacji ze szlaku morskiego przez Kanał Sueski i wybrało dłuższą i droższą drogę prowadzącą dookoła Afryki.

Amerykanie i ich sojusznicy zapowiadają dalsze ataki, ale – jak podkreślają eksperci – wciąż stoją przed dylematem: jak zmusić Huti do zaprzestania ostrzału, jednocześnie nie eskalując konfliktu. Dotąd amerykańskie ataki wymierzone były w infrastrukturę militarną radykałów, a nie w ich przywódców. Nie przyniosły jednak pożądanego skutku i Huti nadal ostrzelują zachodnie jednostki.

Maya Yahya, dyrektor Carnegie Center w Bejrucie, mówi w rozmowie z „The New York Times”, że klucz do osłabienia Huti, podobnie jak innych bojówek w regionie, jest w rękach wspierającego ich Iranu. – Jedyne nakaz ze strony Teheranu mógłby

Radykalne nastroje przybrały na sile po ostatnim ataku w Jordanii, gdzie sterowany przez proirańskich radykałów dron zabił trzech amerykańskich żołnierzy

formowali, że doszli do porozumienia w sprawie wsparcia Ukrainy, Izraela i Tajwanu oraz zabezpieczenia granic USA w pakiecie wartym ponad 100 mld dolarów, co otwierało drogę do głosowań w przyszłym tygodniu.

Jednak w sobotę Republikanie dokonali kolejnej wolty. Spiker Izby Reprezentantów, republikanin Mike Johnson, zapowiedział, że jego ugrupowanie poprze w nadchodzącym tygodniu w głosowaniu pomoc jedynie dla Izraela, rozdzielając ją od pomocy dla Ukrainy.

W wartym 17,6 mld dolarów pakiecie znalazły się pieniądze na pokrycie kosztów funkcjonowania systemów obrony powietrznej (m.in. Żelaznej Kopuły), dostarczenie Izraelowi amerykańskiej broni, a także na wsparcie jej własnej produkcji. W pakiecie znalazłyby się też środki na wsparcie amerykańskich operacji wojskowych, a także zabezpieczenie ambasad i ewakuacji amerykańskich obywateli w całym regionie.

Cyniczne posunięcie

Johnson w liście do republikańskich kongresmenów napisał, że przygotowany przez Demokratów projekt łączącego wsparcia Izraela i Ukrainy przypadnie w Izbie. Jego zdaniem zapisane w nim środki są niewystarczające do tego, by powstrzymać wzrost migracji na zewnętrznych granicach Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie zapowiedział wszczęcie procedury im-

ich skłonić do wycofania się. Ale nawet wtedy mogą nie posłuchać jego przedstawicieli – mówi Yahya.

Jastrzębie suflują atak na Iran

Presję na prezydenta USA w sprawie sytuacji na Morzu Czerwonym wywiera frakcja jastrzębi w Białym Domu. Jej przedstawiciele domagają się bezpośredniego ataku na Iran, w czym wspiera ich część Republikanów, ale w Waszyngtonie przeważa na razie opinia, że otwarte uderzenie w Iran spowodowałoby rozlanie się konfliktu na cały Bliski Wschód i zmusiło Stany Zjednoczone do jeszcze większego zaangażowania militarnego. Tego zaś administracja Bidena chce uniknąć.

Radykalne nastroje przybrały na sile po ostatnim ataku w Jordanii, gdzie sterowany przez proirańskich radykałów dron zabił trzech amerykańskich żołnierzy. W odpowiedzi w piątek Amerykanie ostrzelali 85 celów w Syrii i Iraku, zabijając m.in. 16 członków proirańskiej bojówki Haszed al-Szaabi. Ich wpływy są na tyle rozległe, że członkowie Haszed al-Szaabi zostali nawet włączeni do irackich sił bezpieczeństwa.

Ostrzał Amerykanów i Brytyjczyków na pozycje Huti skrytykował irański MSZ. Jego rzecznik wydał oświadczenie, w którym napisał, że ostatnie ataki „stoją w jasnej sprzeczności z twierdzeniami powtarzanymi przez Waszyngton i Londyn, że nie chcą eskalacji konfliktu w regionie”. ●

Michał Kokot

Rozdzielić wsparcie

Spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson poinformował, że Republikanie przegłosują 17,6 mld dolarów na wsparcie Izraela w wojnie z Hamasem. Jednocześnie zasugerował, że wsparcie dla Ukrainy może zostać odłożone w czasie.

Na Kapitolu trwa impas w sprawie dozbrajania Ukrainy. Prezydent USA Joe Biden wnioskował o 61 mld dolarów na ten cel, które połączył w pakiecie z innymi środkami, m.in. dla Izraela i Tajwanu. Mający większość w Izbie Reprezentantów Republikanie odmówili udzielenia wsparcia, dopóki Demokraci nie zgodzą się w dużej mierze zrealizować ich planu na zapewnienie bezpieczeństwa na granicy z Meksykiem i zabezpieczyć na to stosownych środków.

O krok od kompromisu

Choć Demokraci próbowali znaleźć kompromisowe rozwiązanie, żadne nie zadowalało Republikanów, którzy wokół tematu bezpieczeństwa wewnętrznego kraju ogniskują przekaz do swoich wyborców. Tymczasem przyznane wcześniej środki dla Ukrainy wyczerpały się – wciąż realizowane są kontrakty na dostawy sprzętu i uzbrojenia, ale nie mogą być podpisywane nowe. Kijów otrzymał natomiast wsparcie w wysokości 50 mld dolarów z Unii Europejskiej.

W piątek przedstawiciele Demokratów i Republikanów w Senacie poin-

peachmentu wobec Alejandro Mayorkasa, sekretarza bezpieczeństwa wewnętrznego, którego Republikanie obwiniają o brak działań wobec walki z kryzysem migracyjnym.

Rzeczniczka Białego Domu Karine Jean-Pierre nazwała ruch Republikanów „cynicznym posunięciem politycznym” i oceniła, że partia ta nie chce pomóc Ukraincom w obronie przed putinowską inwazją. Demokraci przypominają, że prezydent Joe Biden zapowiadał już w zeszłym roku, że zawetuje każdą ustawę, która będzie rozdzielać pomoc dla Izraela i Ukrainy.

„Staje się jasne, że cała ta dziwaczna przepychanka w Kongresie dotyczyła tak naprawdę zatrzymania pomocy dla Ukrainy. Nieoczekiwanie, gdy Sena był blisko kompromisu, Johnson i Republikanie spod znaku MAGA [radykalne skrzydło zwolenników Donalda Trumpa] znów zmieniają zasady gry. Dlaczego? Czy ktoś im za to płaci, czy ideologicznie skłaniają się ku Putinowi?” – skomentowała na portalu X dziennikarka „The Atlantic” Anne Applebaum. ●

**Michał Kokot
Paweł Gawlik**

wyborcza.pl

• Więcej czytaj na **Wyborcza.pl**

Energetyka jądrowa

Dajmy sobie spokój z wielką elektrownią

Takie inwestycje niemal zawsze trwają dłużej i są droższe, niż przewiduje kosztorys

Gadomski



Partie tworzące Koalicję 15 Października popierają budowę wielkich elektrowni atomowych, uważając, że to jedyny sposób zapewnienia stabilnych dostaw bezemisyjnej energii elektrycznej, uzupełniających dostawy z elektrowni wiatrowych i słonecznych. Kroczą więc szlakiem wytyczonym przez poprzedni rząd, który zapowiedział zbudowanie w Polsce w ciągu 10-11 lat dwóch, a być może trzech dużych elektrowni jądrowych.

Jedną wybudować miałby amerykański koncern Westinghouse, drugą polskie spółki ZE PAK (udziały mają firmy Zygmunta Solorza), PGE i koreańska spółka KHNP, a trzecia miała być powstać być może przy współpracy z firmami francuskimi. Zapowiedzi te miały niewiele wspólnego z rzeczywistością. Ani politycy, ani eksperci nie przedstawiali sposobu finansowania inwestycji, skupiając się na technologii, a nie na pieniądzu.

We wrześniu 2023 roku spółka Polskie Elektrownie Jądrowe (PEJ) podpisała umowę z konsorcjum spółek Westinghouse i Bechtel na zaprojektowanie pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce w ramach rządowego programu energetyki jądrowej. Wybór amerykańskich firm był elementem polityki zagranicznej i zbrojeniowej polskiego rządu. Politycy PiS dawali do zrozumienia, że w zamian za zawarcie kontraktu Amerykanie zgodzą się dostarczać do Polski nowoczesny sprzęt wojskowy, którego sprzedaż za granicę wymaga zgody Kongresu. Ile w tym prawdy, nie wiemy, gdyż rozmowy były tajne.

Kontrakt z Westinghouse i Bechtel przewiduje zaprojektowanie głównych komponentów elektrowni jądrowej: tzw. wyspy jądrowej, wyspy turbiny oraz instalacji towarzyszących. Czas trwania umowy to 18 miesięcy, na jej mocy powstać ma ponad 400 raportów i opracowań. Chodzi więc na razie o projekt, a nie o budowę, a tym bardziej sfinansowanie przez Amerykanów inwestycji.

Bechtel to amerykańska korporacja zajmująca się inżynierią, zaopatrzeniem, budownictwem i zarządzaniem projektami, założona w San Francisco w Kalifornii w 1898 roku. W 2022 roku była drugą co do wielkości firmą budowlaną w Stanach Zjednoczonych.

Ciekawsza jest historia Westinghouse Electric Company LLC. To amerykańska firma zajmująca się energią jądrową, wydzielona w 1999 roku z pierwotnej korporacji Westinghouse Electric Corporation. Ta druga ma 140-letnią historię, pierwsza zaledwie 25-letnią, w dodatku dość burzliwą. W 2006 roku została kupiona przez japońską Toshiba. W 2017 roku okazało się, że jej straty wynoszą 9 mld dol., i spółka ogłosiła upadłość. Rok póź-



• **Warszawa, 27 września 2023 r. Mateusz Morawiecki podczas podpisania umowy na zaprojektowanie elektrowni jądrowej**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

niej Toshiba sprzedała ją kanadyjskiej grupie Brookfield Business Partners.

Strata wynikała z budowy czterech atomowych bloków energetycznych: dwóch w elektrowni Vogtle w Georgii – jednym z jej właścicieli jest Southern Company – i dwóch w elektrowni VC Summer w Karolinie Południowej. Westinghouse miał w nich skonstruować ciśnieniowe wodne reaktory AP1000 – pierwsze od 40 lat reaktory budowane w Stanach Zjednoczonych. Takie same Westinghouse ma zbudować w Polsce.

Zatwierdzenie projektu reaktora zajęło pięć lat i wprowadzono do niego 19 zmian, aby spełnić podstawowe wymagania bezpieczeństwa określone przez amerykańską Komisję Regulacji Jądrowej (NRC).

W latach 80. XX wieku Southern Company uruchomiła w elektrowni Vogtle (nazwa pochodzi od nazwiska jednego z prezesów) dwa pierwsze reaktory, których koszt okazał się znacznie wyższy od założonego. Pierwotnie szacowano, że jeden reaktor będzie kosztował ok. 1 mld dol., skończyło się na prawie 9 mld.

W sierpniu 2008 r. szacowano, że reaktory Vogtle 3 i 4 będą kosztować 14,3 mld dol. i rozpoczyna działalność komercyjną odpowiednio w 2016 i 2017 roku. Tymczasem reaktor nr 3 ruszył w lipcu 2023 roku, a czwarty ma ruszyć w roku bieżącym, o ile uda się usunąć rozmaite usterki. Według obecnych szacunków inwestycja będzie kosztować ponad 30 mld dol. Southern Company wzięła na inwestycje kredyty bankowe, na które Biuro Programów Pożyczkowych Departamentu Energii udzieliło gwarancji kredytowych na kwotę 12 mld dol. Ostatecznie zapłacili za to amerykańscy podatnicy.

Jeszcze gorzej poszła inwestycja w Karolinie Południowej. W 2017 roku, cztery miesiące po złożeniu wniosku o upadłość przez Westinghouse, Scana Corporation, która posiadała 55 proc. udziałów w projekcie VC Summer, zwróciła się do Komisji ds. Usług Publicznych Karoliny Południowej o zatwierdzenie planu porzucenia inwestycji. Miliardy dolarów zostały spisane na straty.

Jeszcze jedna informacja o Westinghouse: 31 stycznia br. czeski rząd uznał, że amerykańska firma nie spełniła wa-

runków przetargu na budowę nowego bloku elektrowni jądrowej w Dukovanech. Władze w Pradze zwróciły się do dwóch pozostałych oferentów – francuskiego EDF i koreańskiego KHNP – o wiążące oferty na cztery bloki.

To nie znaczy, że Westinghouse jest firmą niewiarygodną, a jej konstruktorzy, inżynierowie i technicy są słabo wyszkoleni. Z pewnością wiele nauczyli się na błędach popełnionych w Vogtle i w VC Summer. Ale inwestycje w wielkie elektrownie jądrowe są obciążone dużym ryzykiem i niemal zawsze kosztują więcej, niż przewiduje wstępny kosztorys. Zwykle trwają też znacznie dłużej, niż zakładano.

Europejczykom nie idzie wcale lepiej niż Amerykanom. Przykładem jest budowa bloku nr 3 w elektrowni jądrowej na wyspie Olkiluoto w Finlandii. Miał zostać uruchomiony w 2009 roku. Tymczasem produkcja energii rozpoczęła się dopiero w maju 2023 roku, a koszt był wielokrotnie wyższy od planowanego.

Inwestorem jest TVO – konsorcjum kilku firm i gmin. Posiada ono już dwa bloki nuklearne, zbudowane w latach 70. XX wieku według technologii radzieckiej. Nowy blok ma nowoczesną technologię EPR (European Pressurized Reactor). Na świecie jest tylko kilka elektrowni tego typu. Przetarg na budowę wygrało francusko-niemieckie konsorcjum Areva-Siemens. Kontrakt przewidywał koszt 3 mld euro. W projekcie nie przewidziano wielu problemów technicznych i organizacyjnych. Tymczasem prawo Murphy'ego mówi, że jeśli coś może pójść źle, to pójdzie źle.

Jeżeli zbudujemy dużą elektrownię jądrową, zdeterminuje to naszą gospodarkę na dziesiątki lat. O ile w Ostrołęce rząd mógł utopić 2 mld zł i w końcu podjąć po czasie jedynie racjonalną decyzję o zakończeniu inwestycji, to nie będzie to raczej możliwe po wydaniu, dajmy na to, 50 mld zł. Szacunkowo elektrownia ma kosztować 20 mld USD (ok. 90 mld PLN), ale naprawdę trzeba się liczyć z kosztem 120-150 mld zł. Ten ogromny koszt będzie obciążać konsumentów energii elektrycznej (prąd stanie się droższy, a nie tańszy) lub podatników – o ile Komisja Europejska zgodzi się na pomoc publiczną.

Obecnie na świecie budowanych jest około 60 nowych reaktorów jądrowych, z czego ogromna większość w Azji. Szczytowy moment świetności elektrowni jądrowych nastąpił w roku 1996, gdy źródło to dostarczało 17 proc. światowej energii elektrycznej. Obecnie dostarcza ok. 10 proc.

Gdyby Polska zdecydowała się na budowę elektrowni jądrowej na początku lat 90. (co wówczas było trudne z powodu ograniczeń budżetowych), dziś produkowałaby prąd po relatywnie niskich cenach, gdyż elektrownia byłaby już zamortyzowana. Ale to okno możliwości już się zamknęło. Najśmieszniejsze jest to, że na opracowania dotyczące lokalizacji, kosztów, rentowności itd. elektrowni atomowej już wydaliśmy pewnie 1 mld zł.

Trzeba też wziąć pod uwagę fakt, że postęp innowacji w świecie przyspiesza, co sprawia, że ryzykowne są wielkie inwestycje, których żywotność planowana jest na dziesiątki lat. Może się okazać, że zmiany technologiczne sprawią, iż inwestycja nigdy się nie zwróci. Zamiast więc toczyć pustą debatę o tym, gdzie ulokować wielką elektrownię atomową, znajdziemy inny sposób zapewnienia dostaw energii.

Technologią, która może stabilizować system elektroenergetyczny, są np. małe reaktory modułowe (Small Modular Reactors, SMR) o mocy do 300 MW. Nadają się do sieci elektroenergetycznych o różnej wielkości, zwłaszcza że są skalowalne oraz stosunkowo łatwe i szybkie w budowie. SMR mają zastosowania wykraczające poza wytwarzanie energii elektrycznej – mogą również ogrzewać domy i budynki komercyjne, wspierać hybrydowe systemy energetyczne, zasilać systemy odsalania wody, ogrzewać szklarnie itp.

Mogą być montowane fabrycznie w moduły lub jednostki (możliwa jest standaryzacja, która zmniejsza koszt jednostkowy) i transportowane do miejsca instalacji. Skraca to czas budowy do 1,5-2,5 roku i oferuje więcej opcji dla odpowiednich lokalizacji niż większe zakłady. W przypadku wzrostu zapotrzebowania na energię można dodać dodatkowe moduły.

Taka elastyczność i szybkość zmniejszają potrzeby inwestycyjne i ułatwiają finansowanie. Inwestycja w SMR to kilka miliardów dolarów, a więc elektrownie mogą być budowane i eksploatowane przez prywatne korporacje bez konieczności wsparcia przez państwo.

Technologia SMR już jest opracowana, choć na razie nie doczekała się komercyjnego użycia. Amerykańska korporacja NuScale Power Corporation zamierzała za pięć lat uruchomić pierwszą elektrownię w tej technologii, ale pod koniec ubiegłego roku wycofała się z powodów finansowych. Zapewne jednak ta porażka nie zniechęci kolejnych inwestorów. ●

Witold Gadomski

• **Teksty w dziale Opinie wyrażają poglądy autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska redakcji**

Michał Nogaś

Marian Pilot zmarł 2 lutego 2024 roku wieczorem w Szpitalu Praskim w Warszawie. Pisarz, dziennikarz, leksykograf, scenarzysta filmowy, laureat Nagrody Literackiej „Nike” z 2011 roku za powieść „Pióropusz”. Informację przekazali „Wyborczej” rodzina oraz przyjaciele twórcy.

– Marian Pilot to autor, który łączy tematykę plebejską z wyrafinowaną formą i świetnym, bardzo twórczym językiem – mówił w 2010 roku Józef Hen.

Urodził się 6 grudnia 1936 roku w Siedlikowie, wielkopolskiej wsi leżącej nieopodal Ostrzeszowa. W tym mieście ukończył liceum w 1953 roku, a następnie ruszył na studia dziennikarskie do Warszawy. Pracował w dziale kultury Polskiej Agencji Prasowej, w „Wiadomościach Filmowych” i w „Na Przelaj”, przez 11 lat był kierownikiem działu prozy w „Tygodniku Kulturalnym” (1967-78). Był wieloletnim redaktorem poświęconego kulturze chłopskiej kwartalnika „Regiony”. Pracował krótko w redakcji filmów fabularnych TVP, by następnie – na początku lat 80. XX wieku – zostać głównym specjalistą ds. literatury pięknej w działającej od 1949 roku Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Od 2003 do 2006 roku był członkiem rady nadzorczej TVP.

Pilot zadebiutował jako pisarz w 1962 roku tomem 15 opowiadań „Panny szczyrbate”. Dorota Wodecka, kreśląc portret pisarza po odebraniu przez niego Nagrody Literackiej „Nike”, pisała: „Od dnia swego prozatorskiego debiutu konsekwentnie współtworzy w polskiej literaturze tzw. nurt chłopski. A przecież na studiach wstydzi się swojej wiejskości. Tej »ciemnoty, głupoty, gnoju i gnojówki, beznadziejnej biedy i beznadziejnej roboty«. Czuje odrzucenie i obrzydzenie do miejsca, z którego uciekał”.

PISARZ RADYKALNY, AUTOR ARCYPLAGIATU

Opublikował w sumie 24 książki – powieści, zbory opowiadań, eseje. Za drugą, „Sień” (1966), otrzymał Nagrodę Literacką im. Stanisława Piętaka, zmarłego w 1964 roku poety, jednego z najwybitniejszych ludzi pióra wywodzących się z nurtu wiejskiego literatury polskiej.

Ostatnie dzieła Pilota wydał krakowski Ha!art. Znalazło się wśród nich „Dzikie mieso”, tekst radykalny i napisany wszystkimi zidentyfikowanymi gwarami, jakie występowały na polskich ziemiach. Zaczynał się tak:

„Przed rają stojolarchanijol

z uognistąmiecą

Jak koniec świata bydziemiołprzysj to anioły

i archanioły bydomtrombić

A po cym to poznajes stasiu

Michol archanioł to powiedział:

Ano bo widzis jak we sfyntymicholpowieszcze

od zachodu to zima letko

Mówią że jak mo ksenżyc rogi do góry

i bystry jest to pogoda bydzie

Poniezusmioł jeno Dwunastu apostołów

a cały świat owładnął”.

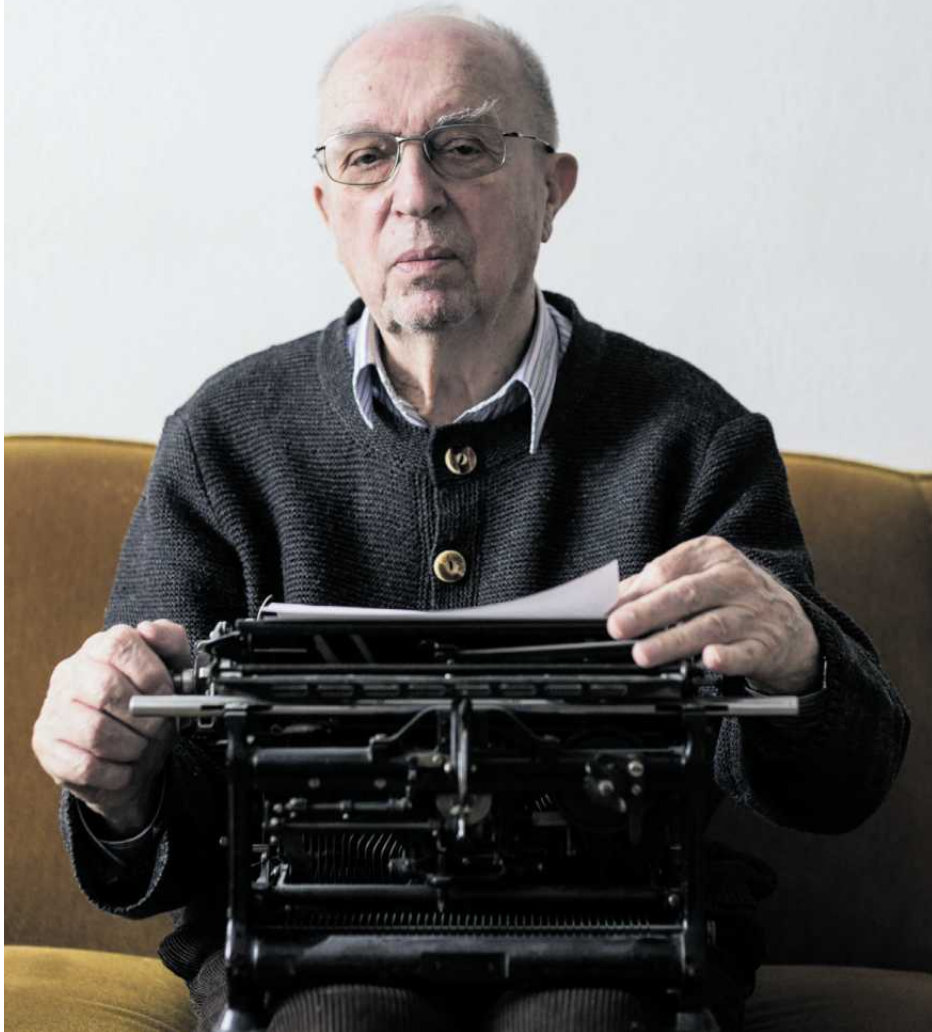
W rozmowie z „Wyborczą” w kwietniu 2022 roku pisarz mówił: – Zamarzyło mi się przejść do historii polskiej literatury jako autor arcyplagiatu. Wykorzystać wszystko to, co przez wieki ciekło w mowie polskiej potokiem niekancelaryjnym – od Reja, nie od Kochanowskiego. (...) Słowniki mi pomogły. Od lat się nasi uczeni zajmują zapisywaniem słów występujących wyłącznie w niektórych rejonach Polski.

Bazowałem na tych słowach w ostatniej chwili ocalonych. Gdyby się teraz pojechało do jednej czy drugiej wsi, skąd te słowa pochodzą, to bezzadanie rozłożyłoby ręce, co to słowo nazywało. Niemy język.

Nie żyje Marian Pilot

STRAŻNIK SŁÓW

Miał 86 lat. W 2011 roku za powieść „Pióropusz” dostał Nagrodę Literacką „Nike”. Marian Pilot był jednym z najważniejszych przedstawicieli tak zwanego nurtu chłopskiego w prozie polskiej.



FOT. ADAM STEFEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ja sobie ten arcyplagiat tak wykombinowałem, że tu każde zdanie jest od innego autora, na ogół znanego, bo zapisanego w słowniku. I ja mu je bezzecznie zabrałem i coś zupełnie nowego uwarzyłem. To są wszystkie zdania spisane przez naukowców z nasłuchu. Ja sobie losowałem, co też mi się może przydać, i składałem powoli całość. Czulem się jak monter języka.

OCALIĆ JĘZYKI

Nike za „Pióropusz” była wielkim triumfem Pilota. W laudacji prof. Grażyna Borkowska mówiła: „Zbiegają się w »Pióropuszu« rozmaite tradycje gatunkowe: konwencje powieści rozwojowej i emancypacyjnej, elementy powieści o dzieciństwie i szczątki sagi rodzinnej, zręby autobiografizmu i fikcjonalności – zbiegają się, by natychmiast umknąć w stronę żywiołowego i wypracowanego, szalonego i obolalego, zgrzebnego i imponującego – fajerwerku słów”.

Członek kapituły, znakomity krytyk Jan Gondowicz, podkreślał: „To nie jest książka miła, ponętna, szykowna, łatwa i »glamour«. Jest za to szorstka, zuchwała, oszalałająca, zamasztysta i kunsztowna”.

A Dariusz Nowacki pisał na łamach „Wyborczej”: „Spraw językowych nijak unieważnić się nie da. Stanowią o istocie tego przedsięwzięcia pisarskiego. Opowiadacz rekonstruuje dawną rzeczywistość wielkopolskiej wsi, wczesne lata 50. XX w., między innymi w imię mowy. Chce ocalić język matki, ojca, całego środowiska i epoki. To czas, kiedy na wsi pojawiają się agitatorzy namawiający do kolektywizacji, a napięcia między miejscowymi i przybyszami zza Buga, którzy zagają zenitu. Stąd w »Pióropuszu« znajdziemy, lekko licząc, kilkaset przeróżnych dialektyzmów i drugie tyle autorskich neologizmów. Te ostatnie nie powstały dla popisu. Mają głębokie uzasadnienie.

Najważniejsze zdarzenia i motywy mają w »Pióropuszu« wymiar symboliczny. W teczce ojca, który właśnie wrócił z więzienia, znalazły się dwa przedmioty: oku-



W każdej rozmowie Marian Pilot podkreślał, że w rzeczywistości nigdy nie opuścił rodzinnej wsi

lary i fragment gazety z socrealistycznym opowiadaniem. Chłopiec zakłada okulary, ów atrybut inteligenta, i natychmiast zyskuje ostrość widzenia. A po lekturze socrealistycznego kawalka decyduje, że zostanie pisarzem. Przepisze słowo w słowo tekst, który znalazł w gazecie, i pośle go w świat.

Ale najbardziej istotny jest inny przedmiot symboliczny – wieczne pióro, które specjalnie dla literata in spe (na razie chłopca w wieku szkolnym) ojciec kradnie w urzędzie. Jakiś czas później, gdy młody pisarz będzie już w gimnazjum, ubek werbujący go do współpracy nakaże mu, by kradzionym piórem pisał prawdę”.

Pisarz wielokrotnie wspominał, że to jego matka zdecydowała kiedyś, że dwa zielone pióra marki Pelikan, które pozostawił po sobie jej ojciec, dziadek Mariana, przypadną właśnie jemu. To – jak sam uważał – był znak, dar od losu. Zrozumiał, że powinien się uczyć i pisać, a nie zostać ślusarzem czy pasterzem krów.

LUDZIE ZAPOMNIELI SŁÓW

W każdej rozmowie Marian Pilot podkreślał jednak, że w rzeczywistości nigdy nie opuścił rodzinnej wsi. Wracał do niej w opowiadaniach, powieściach (w tym w „Pióropuszu”) i esejach, na własną rękę przeprowadził badania, które pozwoliły mu opublikować „Ssapy, szkudły, świętojanki: słownik dawnej gwary Siedlikowa”. Wyjaśniał w nim znaczenie słów poznanych w dzieciństwie: „alarmówka”, czyli trąbka strażacka, „boba”, czyli zimowa czapa, „krajonek”, czyli kawalek białego sera, itd. Przyznawał, że zależy mu na tym, by dawne słowa przetrwały, czuł się ich strażnikiem.

Pod koniec życia przyznał w szczerej rozmowie: – Szedłem na studia i bardzo chciałem mówić tym nowym językiem, siedlikowska mowa jedynie przeszkadzała. Nijak nie byłem w stanie ukryć pochodzenia, wstydziłem się matecznika, choć wtedy takiej wiejskiej młodzieży, która weszła nagle do miasta, były dziesiątki tysięcy. Gromadnie się wstydziliśmy, by później wstydzić się tego wstydu.

BEZGRANICZNE ZAUFANIE

W ostatnich latach życia Pilot uważnie przyglądał się Polsce z okien swojego mieszkania na warszawskim Targówku i w trakcie licznych spacerów z żoną Teresą. W 2017 roku mówił w „Wyborczej” w gorzkiej rozmowie: – Materia naszego narodu w ciągu ostatnich stu lat ulegała przekształceniom, odkształceniom, przemianom spowodowanym zarówno czynnikami zewnętrznymi, jak i wewnętrznymi namiętnościami. Nie było i nie ma w tym narodzie spójności, czegoś, co mają inne, szczęśliwiej ukształtowane społeczeństwa.

Proszę spojrzeć na sąsiadów. Kraje bałtyckie są totalnie chłopskie, ale nie uważają tego za swoje nieszczęście, przeciwnie. Chłopskość je cementuje, jednocy. Utwierdziły się w tej chłopskości i potrafią to wykorzystać. Wspaniałym przykładem jest tu zwłaszcza Szwecja, dumna ze swej chłopskości, szwedzki chłop od wieków ma status suwerena – by użyć tego tak często u nas ostatnio stosowanego słowa.

Tymczasem w Polsce – z gruntu inaczej. Dopiero co z chłopów przedzierzgnęliśmy się w panów. Panów Polaków, dopowiedzmy; chłop nie miał prawa do tego tytułu. (A tym bardziej – tytułu Sarmaty). To gwałtowne przejście i utwierdzanie się w nowej roli nie obywało się bez najrozmaitszych skłębień, zgrzytów, przedziwności. (...) Polak: z gęby pan, z duszy chłop.

Na wieść o śmierci Mariana Pilota prof. Andrzej Mencwel, historyk i antropolog kultury oraz krytyk literacki, powiedział tylko: – Jego odejście jest dla mnie bardziej bolesne, niż jestem w stanie sobie to teraz uzmysłwić. Przyjaźniliśmy się prawie pół wieku, pisarsko i osobiście ufałem mu bezgranicznie. ●

► **Piotr Zieliński po strzeleniu bramki Veronie w sierpniu 2022 roku**

FOT. SHUTTERSTOCK

Stało się już pewne, że reprezentant Polski, czołowy rozgrywający na włoskich boiskach piłkarskich, za kilka tygodni podpisze kontrakt z Interem Mediolan.

Rafał Stec

Tego Aurelio De Laurentiis – właściciel klubu z Neapolu, najbardziej bezwzględny i mściwy pracodawca w całej Serie A – nie mógł puścić Piotrowi Zielińskiemu płazem. Owszem, sam transfer byłby w stanie znieść, nawet z umiarkowanym entuzjazmem zaakceptować – jednak tylko pod warunkiem że otrzymałby za to przyzwoitą sumkę.

Nie dostanie nic, ani eurocenta. 29-letni Polak odrzucił propozycję przedłużenia umowy z neapolitańczykami, obecna wygasa w czerwcu, więc po sezonie odejdzie za darmo. Dlatego w bieżącej edycji Ligi Mistrzów już nie zagra – ani w meczach 1/8 finału z Barceloną (przed dwoma laty strzelił jej gola, wypadł rewelacyjnie), ani w ewentualnych następnych rundach. Oficjalnie piłkarz, który jesienią wystąpił we wszystkich spotkaniach rozgrywek, został wyrzucony z wysłanego do UEFA składu przez trenera Waltera Mazzariego, ale wszyscy wiedzą, że rozkaz wydał De Laurentiis.

Zapach czy smród pieniądza

Włoski producent filmowy, który w minionych kilkunastu latach wydzwignął Napoli z czwartoligowej czarnej dziury na krajowych szczyt, działa w mieście sentymentalnym, dozgonnie wdzięcznym za ubiegłosezonowy triumf w lidze, ale sam traktuje podwładnych na zimno, jak aktywa. Z Zielińskim i tak zaskakująco długo obchodził się łagodnie. Zazwyczaj próbuje bowiem wymusić przedłużenie kontraktu wcześniej, szantażem, nawet zakazem treningów z pierwszą drużyną i osadzeniem na trybunach. Ten los spotkał Arkadiusza Milika, ukaranego za brak uległości wydaleniem do rezerw. Podzieliło, w przerwie zimowej utratę polskiego napastnika udało się przynajmniej częściowo



Dlaczego Napoli wyrzuciło Zielińskiego

spieniężyć, został wypożyczony do Olympique Marsylia.

Można było spekulować, że Zielińskiego ratuje specjalny status w drużynie. Zawsze uchodził za lojalnego i zakochanego w mieście, ma najdłuższy staż w Napoli, błękitną koszulkę zakłada od 2016 roku, 355 rozegranych meczów daje mu ósme miejsce w całej historii klubu (dla porównania: Robert Lewandowski uzbierał w Bayernie tylko 20 więcej), nigdy nie leczy kontuzji, stawał się ulubieńcem prawie każdego kolejnego trenera. I jego łagodne usposobienie nie skłania do wypowiedziania mu wojen, w których De Laurentiis się lubuje.

Ten ostatni być może liczył jednak przede wszystkim na to, że ostatecznie Polaka przekona, pomimo składanych mu próśb o zgodę na obniżkę pensji (brutto najwyższą spośród wszystkich piłkarzy, a właściciel redukuje budżet płacowy). Zwłaszcza że przed sezonem Zieliński odrzucił bajeczną ofertę Saudyjczyków, machających mu przed oczami 400-procentową podwyżką.

Niejasna przyszłość Roberta Lewandowskiego

Barcelona planuje rewolucyjne zmiany w kadrze, jak znieśnie je 36-letnia gwiazda?

Od 10 grudnia kapitan reprezentacji Polski nie zdobył bramki w lidze hiszpańskiej. W sobotę złą passę przerwał efektowną podcinką w 22. min wyjazdowego meczu z Alavés, gdy Barcelona była przyparta do muru. Wygrała 3:1.

Alibi w teoriach spiskowych?

Frustracja, niepewność, rozczarowanie – te uczucia wśród kibiców i szefostwa Barcelony doprowadziły do dymisji Xaviego Hernández. Miał być współczesną wersją Pepa Guardioli, do osiągnięcia swojego byłego trenera nawet się jednak nie zbliży. Zostawi drużynę w czerwcu po wywalczeniu z nią dwóch trofeów – obu w ubiegłym sezonie. Obecny ociera się o klapę na wszystkich

frontach. Pozostała szansa w Lidze Mistrzów, ale drużyna z Katalonii musiałaby doznać niewyobrażalnej metamorfozy.

Zamiast kolejnego kroku do przodu z zespołem mistrza Hiszpanii Xavi wykonał trzy do tyłu. Pod jaką silną presją musi być młody trener, który pracuje w klubie od listopada 2021 roku, by przy każdej okazji ogłaszać, że to spisek hiszpańskich sędziów umieścić Real Madrid na czele tabeli. Z Królewskimi Barcelona mierzyła się w tym sezonie dwa razy i dwa razy przegrała (1:2 i 1:4). Niedawny finał Supercupu Hiszpanii pokazał, że oba zespoły dzieli przepaść, jeśli chodzi o stan aktualnej formy.

– Nie będę się zniżał do dyskusji na takim poziomie – odpowiedział Xaviemu i prezesowi Barcelony Joanowi Laportie trener Realu Carlo Ancelotti. Przed rokiem, gdy Katalończycy wygrywali ligę z przewa-

gą 10 pkt, Hiszpania żyła „sprawą Negreiry” – byłego wiceszefa kolegium hiszpańskich sędziów, który na długoletniej współpracy z Barceloną zarobił 7,3 mln euro. Wszyscy zachodzili i zachodzą w głowę, jak ktoś na stanowisku wymagającym bezstronności mógł brać pieniądze od jednego z klubów.

Teorie spiskowe to część tradycji ligi hiszpańskiej. Rzeczywistość Barcelony jest trudna, bez względu na rozpaczliwe poszukiwanie alibi. W czerwcu zespół obejmie nowy szkoleniowiec i zastanie 36-letniego Roberta Lewandowskiego na czele listy płac. Znając praktyki stosowane przez Joanę Laportę, prezes zrobi, co w jego mocy, by Polak zgodził się na znaczącą obniżkę zarobków, jeśli będzie chciał zostać na Camp Nou. Barcelona ma wielkie długi, tymczasem szykuje się do kadrowej rewolucji. Nikt nie wierzy, by

ci sami piłkarze mogli odbudować utraconą pozycję klubu.

Trudna sytuacja

Jak w takich przypadkach bywa, pretensje kibiców kierowane są przeciw tym, którzy powinni być liderami drużyny. W ankietach hiszpańskich mediów Lewandowski był bardzo wysoko na listach winowajców przeżywanej teraz sytuacji. W ubiegłym sezonie był królem

Teorie spiskowe to część tradycji ligi hiszpańskiej. Rzeczywistość Barcelony jest trudna, bez względu na rozpaczliwe poszukiwanie alibi

strzelców La Liga, teraz jest wśród najskuteczniejszych dopiero na 9. pozycji. Spadek skuteczności i formy Polaka jest drastyczny, dlatego tak ważny był piękny gol, który otworzył wynik wczorajszego meczu z Alavés. Poprzedniego w La Liga Lewandowski zdobył 10 grudnia 2023 roku, w przegranym 2:4 meczu z rewelacyjną Gironą.

Polak wierzy, że sytuację można odwrócić. Jeśli Barcelona nie gra już o mistrzostwo, to przynajmniej o pozycję w ligowym top 4, która zapewni jej prawo gry w Champions League w kolejnym sezonie. 5 pkt przewagi nad piątym w tabeli Athletic Bilbao wygląda bezpiecznie, o ile Barcelona będzie tak skuteczna jak wczoraj przeciw Alavés. Drugą bramkę dla Katalończyków zdobył Ilkay Gundogan, trzecią sprowadzony w styczniu 18-letni Vitor Roque. Dla Brazylijczyka to drugi gol w nowym klubie. Będzie

Ostatecznie jednak neapolitański szef wszystkich szefów, który od zawsze zarządza klubem właściwie samodzielnie, stracił nadzieję. Choć niczego nie ogłoszono, to sam przyznał przed kilkoma dniami, że wie o nieuchronności transferu do Mediolanu, zarzucając przy okazji chciwość agentowi piłkarza. – Pewne miłosne historie po prostu się kończą. Gdyby [Piotr] chciał z nami zostać, objęlibyśmy go i zatrzymali. Ale może ma agenta, który poczuł zapach lub smród pieniądza, wyobraził sobie ładną prowizję, przekonał zawodnika oraz jego żonę i teścia... Powiedziałem już zresztą Beppe Marrotcie [dyrektor sportowy Interu], że nie zachował się dobrze.

Co z barażami o Euro 2024

Nie wiadomo, czy De Laurentiis w swoim stylu wziął odwet na rozgrywającym o reputacji czołowego w Italii, czy sądzi, iż Polakowi zabraknie motywacji albo zwyczajnie nie warto na niego stawiać, lepiej rozwijać zawodników z przyszłością w klubie. To człowiek nieprzewidywalny, porywczy, z predylekcją do podejmowania zaskakujących, także drastycznych decyzji.

Tym razem działa – jak na swoje standardy – powściągliwie, bo krnąbrnego podwładnego całkiem z drużyny nie usunął. Status Zielińskiego pozostaje jednak niejasny. Wprawdzie zagrał w ostatniej kolejce Serie A z Lazio, ale wcześniej przesiedział w rezerwie w trakcie finału krajowego Supercupu z Interem, w półfinale z Fiorentiną pobiegał tylko trochę ponad kwadrans, opuścił ligowe spotkanie z Salernitaną, aż wreszcie nie znalazł się w kadrze na starcie z Hellasem Verona. Podobno dokuczają mu drobne urazy mięśniowe, ale pewności nie ma.

Tymczasem te wątpliwości zasadniczo dotyczą reprezentacji Polski. Jeśli bowiem całkiem przestanie grać – co niewykluczone, biorąc pod uwagę neapolitańskie obyczaje – to przyleci kompletnie wybitny z meczowego rytmu na baraże o Euro 2024 z Estonią (21 marca) i, w razie sukcesu, ze zwycięzcą spotkania Walii z Finlandią (26 marca). Na razie wiadomo tylko, że wspaniała ekipa, która po 33 latach w pięknym stylu odzyskała dla Napoli panowanie we Włoszech, rozpada się błyskawicznie. Latem uciekli trener Luciano Spalletti, dyrektor sportowy Cristiano Giuntoli i obwołany najlepszym obrońcą w lidze Koreańczyk Kim Min-jae, a wkrótce wyfruną Zieliński oraz król strzelców, nigeryjski napastnik Victor Osimhen. Drużyna człapie w środku tabeli Serie A, do księstwa rzucającego gromami De Laurentiisa wróciło stare, czyli zamęt. ●

jednak pauzował za czerwoną kartkę, którą dostał w 72. min wczorajszego meczu.

Sytuacja katalońskiego zespołu i Lewandowskiego jest trudna. Drużyna gra pod olbrzymią presją i z niepewnymi widokami na przyszłość. Co przyniosą Polakowi rewolucyjne zmiany w kadrze zaplanowane za kilka miesięcy? W wielkich klubach szybko zapomina się obietnice i dawne zasługi. Laporta i Xavi sprowadzali Lewandowskiego w lipcu 2022 roku jako lidera nowego projektu. Nowego projektu, który zdaje się zbliżać do kresu. Bo tak trzeba rozumieć dymisję Xaviego.

2 lutego 2022 roku trzyletni kontrakt z Barceloną podpisał Pierre-Emerick Aubameyang. Laporta publicznie podziękował gabońskiemu napastnikowi, że przyjął tak niską pensję.

Obiecał, że klub nie zapomni tego gestu i wynagrodzi to piłkarzowi, jak tylko sytuacja ekonomiczna będzie lepsza. W pół roku Aubameyang zdobył dla drużyny Xaviego aż 11 ligowych goli i pewnie liczył na podwyżkę. Tymczasem Laporta wykupił Lewandowskiego z Bayernu, a Aubameyanga sprzedał do Chelsea. Nie stać było Barcelony na dwóch środkowych napastników tej klasy. Polak ma zapisane w kontrakcie, że jego pensja na Camp Nou będzie rosła, bo, według zapowiedzi prezesa Barcelony, finanse klubu miały się poprawiać. Czyli według umowy w kolejnym sezonie 36-latek powinien zarabiać więcej, tymczasem jego forma sportowa spada. Z pewnością Laporta będzie chciał ten problem jakoś rozwiązać. ●

Dariusz Wołowski

Stec



Reprezentacja czeka na baraże o Euro, a ligowcy udają, że trenują w ciepłych krajach, więc przeciętny kibic sądzi, że w polskiej piłce nic się nie dzieje.

Grubo się myli, ponieważ tytaniczną pracę u podstaw wykonuje Cezary Kulesza, który ruszył w teren, by osobiście sprawdzić, czy nadwiślański futbol rozwija się prawidłowo. Niestety, media jego wysiłek ignorują, nie informują o prezesowskim trudzie nawet zdawkowo, choć wszystko otrzymują podane na tacy, wystarczy przepisać z wiarygodnych źródeł – objazd szefa skrupulatnie relacjonują służby prasowe PZPN, publikując szczegóły na portalach społecznościowych. Dzięki temu każdy może przeczytać, jak przebiegało np. inaugurujące całą akcję spotkanie z zarządem Śląskiego Związku Piłki Nożnej. „O odbyliśmy bardzo ciekawe rozmowy, nie brakowało interesujących pytań i dyskusji. Jestem zadowolony, że mam po raz kolejny okazję przyjechać na ziemię śląską i spotkać się z działaczami. Wizyta jest bardzo udana” – opowiadał rozpromieniony Cezary Kulesza.

Jako fan oświadczeń oraz wszelkich innych treści publikowanych przez piarowców PZPN znajduję się w sytuacji wybitnie uprzywilejowanej, śledzę mozoł prezesa na bieżąco. Ostatnio oddaliłem się czytelniczko od beletrystyki – taki moment w życiu – uznając, że zamiast trwonienia czasu na opasłe, narcystyczne wynurzenia rozmaitych Knausgardów czy Proustów, postawię na lapidarną literaturę faktu i doniesienia o działalności działaczy piłkarskich chłone z rozplamienionymi policzkami, rozekscytowany. Dlatego uważam za dziennikarski obowiązek podzielić się dobrymi wieściami z kibicami, którzy zaglądają do „Wyborczej”.

A zatem: 23 stycznia prezes Kulesza, przedstawiany często jako „sternik”, „rozpoczął serię wyjazdów” od Śląska; 24 stycznia „gościł” w Rzeszowie; 25 stycznia „spotkał się z włodarzami” w regionie małopolskim; 26 stycznia „przyjechał do Łodzi już po raz trzeci podczas swojej kadencji”; 29 stycznia „odwiedził Opolski Związek Piłki Nożnej”; 31 stycznia „zawitał” do Lublina; wreszcie 1 lutego „przebywał z wizytą” w związku mazowieckim. Cytuję precyzyjnie, pobierając odpowiednie czasowniki z materiałów źródłowych, by podkreślić, iż odwiedziny mają rozmaity charakter, każdemu według potrzeb. I jeszcze potrwa, bo sternik PZPN zaszczylił na razie swoją osobą siedem z 16 regionalnych związków, tymczasem obiecał zajrzeć do wszystkich, żeby „zapoznać się z pytaniami i problemami”,

A jednak się kręci

Jak niezmordowany prezes PZPN wizytuje zakłady pracy



• Cezary Kulesza, prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W naszej piłce nożnej trwa właśnie intensywna wymiana myśli, obejmująca terytorium całego kraju burza mózgów

a także „być otwartym na pomysły, sugestie i rozwiązania”.

Lektura tych reportażyków, ujmujących również literacko miniatur, jest odprężająca, wręcz kojąca, gdyż świadczy o panującej w futbolowym środowisku cudownej atmosferze, jakże innej od zatrującego dusze klimatu codziennej politycznej młócki – przedstawiciele rządu i opozycji się nienawidzą, traktują nawzajem jak wrogów i chcą wsadzać do więzień, tymczasem piłkarscy działacze, z najważniejszym na czele, wytrwale i bez zadęcia pracują, aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej.

Owszem, trochę niepokoju objazd naszych wokółboiskowych wycieczek wywołuje. Wiadomo, że Cezary Kulesza lubi wznosić toasty, nie zasypia flaszek w popiele i nie wyobraża sobie, by usiąść do stołu „tak bez niczego”, więc siedem odwiedzin odbytych na dystansie dziesięciu dni musiało stanowić poważne wyzwanie. Tymczasem maraton trwa. Czy szef PZPN wytrzyma kondycyjnie? Zdrowotnie? Czy na samym końcu będzie już musiał – niczym ligowiec z tzw. ekstraklasy w doliczonym czasie – dawać z wątroby? Pytań jest wiele, od odpowiedzi zależy przyszłość rodzimego futbolu.

Generalnie jednak obserwowanie kolejnych podróżniczych wyczynów prezesa daje mnóstwo przyjemności. Pozwala choćby poczuć swojski zapaszek czasów minionych, znanych z opowiadań rodziców – z epoki gierkowskiej, najszcześliwszej w obalonym ustroju, gdy każde wydanie „Dziennika Telewizyjnego” rozpoczynały doniesienia z gospodarskich wizyt pierwszego sekretarza u rolników, w zakładach mięsnych, na placach budowy, z jego troskliwych rozmów z robotnikami czy górnikami.

Urzeka również język pezet-steenowskich dziełek – swawolny, a zarazem wytworny; poetycki, a zarazem oferujący konkret. Wsłuchajmy się: „Punktem kulminacyjnym wizyty w Lublinie było spotkanie z przedstawicielami klubów szczebla centralnego. Cezary Kulesza podsumował ostatnie działania PZPN, a także chętnie dyskutował na temat przyszłości polskiej piłki”. A wizyta w niepozornych Niepołomicach? W siedzibie tamtejszego klubu (zachowuję oryginalną interpunkcję) „rozmawiano o polskim futbolu, w całej rozciągłości, od reprezentacji poprzez rozgrywki ligowe aż po inicjatywy PZPN i piłkę młodzieżową”, natomiast podczas spotkania z burmistrzem miasta i gminy w zamku królewskim „poruszono wiele tematów dotyczących futbolowej, nie tylko ligowej codzienności. W wielu sprawach z wyjaśnieniami spieszył prezes PZPN Cezary Kulesza”.

Konkludując – w naszej piłce nożnej trwa właśnie intensywna wymiana myśli, obejmująca terytorium całego kraju burza mózgów i jeśli media o niej milczą, to wypada poważnie się zastanowić nad zarzutami szefów związku, którzy sugerowali, iż padają ofiarami zorganizowanej kampanii nienawiści. Apelowalbym do kolegów dziennikarzy – zwłaszcza krytykantów, plujących agresywnymi epitetami po niepowodzeniach reprezentacji Polski – by zaniechali pochylania się nad błahostkami i poświęcili trochę czasu na sprawy fundamentalne. Cezary Kulesza to prawdziwy gospodarz domu, nie da on krzywdy zrobić nikomu, a jego obficie relacjonowany przez związek objazd państwa zasługuje na naszą uwagę ze względów merytorycznych, estetycznych oraz etycznych. Władza PZPN też jest blisko ludu, jak pamiętny pierwszy sekretarz i w ogóle całe kierownictwo PZPR, zatem władza PZPN szanuje tradycję – co tym bardziej budujące, że właśnie w latach 70. nasz futbol przeżywał swoją belle époque. Skąd czerpać wzorce, jeśli nie stamtąd? ●

Rafał Stec

• **Aleksander Zniszczoł podczas styczniowego konkursu w Kulm Bad Mitterndorf w Austrii** FOT. REUTERS / LEONHARD FOEGER

*Zniszczoł sugeruje,
że może jeszcze uratować
dla Polski ten sezon,
dotąd tak katastrofalny*

Marek Deryło

Zniszczoł, Ryoyu Kobayashi i Lovro Kos – tak wyglądała pierwsza trójka po pierwszej serii niedzielnego konkursu w Willingen. Ale było coś jeszcze bardziej sensacyjnego – przewaga Polaka nad wielkim Japończykiem wynosiła 12,4 pkt. Zniszczoł, dotąd tylko trzykrotnie w pierwszej „10” Pucharu Świata (najlepsze miejsce – szóste), był bardzo blisko triumfu w miejscu, w którym legendarne zwycięstwa odnosili Adam Małysz i Kamil Stoch.

Tylko że w ten weekend było w Niemczech loteryjnie, przewaga Zniszczoła, choć wielka, niczego w żadnym razie nie gwarantowała. Pytanie: „Czy utrzyma”, było niebezpiecznie naelektryzowane. Niczego nie można było być pewnym.

Na tej skoczni nie ma sztucznych torów, które gwarantują pewną stabilność, lecz są naturalne. I ponieważ w Willingen w weekend padało, można było „trafić” na dobrą prędkość na rozbiegu albo na gorszą. – Czuć, że cały rozbieg płynie i momentami bywało tak, że w torach płynęła rzeka i narty się do tego kleiły – mówił Zniszczoł w sobotę „Przeglądowi Sportowemu”, przedstawiając rzecz w najczarniejszych barwach.

Później, po wyjściu z progu, można było trafić na dobry wiatr albo na gorszy. I jeszcze się zmieniał w czasie skoku. I jeszcze, jak się wydaje, Zniszczoł wyczerpał w pierwszej serii swój limit szczęścia na całą resztę sezonu.

W pierwszej serii Polak skoczył 146 m, w drugiej – 130,5. I jeszcze dostał niskie noty za lądowanie (słusznie, wyglądało na bardzo niepewne). Z pierwszego miejsca spadł na ósme. Ale znów dostarczył polskim kibicom emocji zwariowanych – a tego w obecnym sezonie brakuje dramatycznie.

Wygrał Niemiec Andreas Wellinger (siódmy po pierwszej serii) przed Ryoyu Kobayashim i Szwajcarem Gregorem Deschwandem. Dawid Kubacki zajął 18. miejsce, a Kamil Stoch – 27.

Nowym liderem jest już coraz bardziej Zniszczoł. Był już szeroko znany, ale w wąskich kręgach. Tzw. cała Polska poznała go całkiem niedawno – to on sprawił dwa tygodnie temu, że święto skoków w Zakopanem nie było wielką smutą. Teraz już wiemy, że wtedy właśnie się obudził. I sugeruje, że może jeszcze uratować dla Polski ten sezon, dotąd tak katastrofalny.

Wielka smuta w polskich skokach

Najpierw, na początku sezonu, przyszło zdumienie – dlaczego Kamil Stoch, Dawid Kubacki i Piotr Żyła skaczą tak blisko. Później nadeszła łagodząca dla nich myśl – to już weterani, mogą skakać słabiej, no ale gdzie są ci młodszy?

Oczekiwanie trwało długo, w końcu zgłosił się następca. I od razu pojawił się pewien problem – ale o tym za chwilę.

Dwa tygodnie temu w Zakopanem był zdecydowanie najlepszy spośród Polaków w konkursie drużynowym. Dzień później, w zawodach indywidualnych, po pierwszej serii zajmował czwarte miejsce (skończył na 11.). W sobotę w Willingen na półmetku był trzeci (zajął ósme miejsce).

W niedzielę po pierwszej serii zajmował pierwszą lokatę – skoczył aż 146 m (tak daleko, a nawet dalej, można latać na skoczni



Kolejny szalony występ

Aleksander Zniszczoł jeszcze na podium nie wskoczył, ale od paru tygodni funduje polskim kibicom przejażdżkę istic zwariowaną. Oto nowy bohater polskich skoków.

w Willingen), i jeszcze prawdopodobnie miał furę szczęścia. Otóż wydawało się, iż w pewnym momencie dostał bardzo mocny wiatr pod narty, a jednak oficjalny i uśredniony (a więc: niedoskonały) pomiar wiatru pokazał na koniec, iż wcale tak nie było. I Zniszczołowi zabrano względnie mało punktów, ponieważ – oficjalnie – wcale mu tak mocno pod narty jak innym nie wiało.

Przewaga Zniszczoła nad drugim na półmetku Ryoyu Kobayashim wynosiła 12,4 pkt. Japończyk skoczył 144,5 m i za korzystny wiatr zabrano mu 22 pkt. A Zniszczołowi – 12,8.

Na fachowym koncie twitterowym „local-SJresults” mogliśmy przeczytać: „Jak [Zniszczoł] ruszał, miał 2,5 m/s [wiatru pod narty], a już po wylądowaniu była korekta z 1,9 m/s na 1,09 m/s”.

Do głowy przychodziło porównanie ze wspaniałym skokiem Wojciecha Fortuny z igrzysk z Sapporo w 1972 r. 111 metrów, w które trudno było uwierzyć. Wtedy, jak głosi legenda, Fortuna też pomagał wielkiemu szczęściu. Choć było jeszcze coś oprócz znakomitej formy i szczęścia – tzw. zaradność. Podajemy za Wikipedią: „Fortuna [już] w próbnej serii skoczył 100 m. Występował w nowoczesnym kombinezonie, otrzymanym tuż przed zawodami od japońskiego zawodnika w zamian za kryształ, w dobrze wtedy ocenianych przez specjalistów butach z fabryki w Krośnie i na ernerdowskich nartach Poppa”.

Droga do Willingen

Wokół Zniszczoła zrobiło się ekscytująco już w Zakopanem, acz pojawił się od ra-

zu wspomniany wyżej „problem” – wyciekany następca mistrzów to już skoczek 30-letni, ściśle rzecz biorąc – 29-latek, który 8 marca skończy 30 lat. Niewykluczone więc, że został wtedy najstarszym 29-latką w Polsce – bo gdy się czeka na 20-latkę, a przychodzi ktoś 29-letni, to istotnie działa pewna „względność”.

Poza tym – o ile ciekawsza to historia. Dlaczego ten wicemistrz świata juniorów z 2012 r. kazał na siebie czekać tak długo? Na pewno sporo winy ponosi on sam, nie przeszedł do seniorskiego sportu zbyt płynnie, później niewątpliwie wpadał w kryzysy itd. Ale można wymienić też inny powód – potęgę polskich skoków w ostatnich latach. Stoch, Żyła i Kubacki to byli mocarze nie do ruszenia, ale swoje znakomi-

te sezony mieli też Maciej Kot, Stefan Hula, bardzo dobry okres przeżył swego czasu Jakub Wolny, następnie Andrzej Stękała. Nielatwo było się przebić do najlepszej czwórki czy piątki.

Zwłaszcza komuś, kto rozumował następująco – to słowa z ostatniego wywiadu Zniszczoła dla Przeglądu Sportowego – „Jak już w końcu dostawałem szansę, to wiedziałem, że jestem spalony, bo byłem świadomy, że jest tylko jedna i koniec”. Dostawał szansę, lecz na skocznię wjeżdżał z myślą, że nie może popełnić błędu, bo znów wypadnie. Piotr Żyła mawia: „skakać trzeba z odciętą głową”. A Zniszczoła głowa przygniatała (tym bardziej, że bardzo trudno współpracowało mu się ze Stefanem Horngacherem). ●

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00 (czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Mikołaj Chrzan, Bartosz T. Wieliński
SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Kwiatkowska
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW

Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną, informacje o możliwości kupienia dodatków: kolportaz@wyborcza.pl
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA
Agora SA, ul. Czerska 8/10,
00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
Dyrektor marketingu: Michał Bauer

REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Marta Gądek
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Agora SA
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

